



Barbara Hannay

Angielska róża

Tytuł oryginalny: The Cattlemarfs English Rose

*Miniseria Krzyż południa
część pierwsza*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Kto to może być? - spytała Marsha i niecierpliwie uszczypnęła w udo Kanea McKinnona.

- O kim mówisz? - Nie rozejrzał się jednak wokół, tylko z leniwą rozkoszą pociągnął łyk zimnego piwa.

- Oczywiście o tej dziewczynie. - Szarpnęła go za dzinsy.

Kane wiedział, że według Marshy powinien krytycznie spojrzeć na osobę, która właśnie przekroczyła próg pubu w miasteczku Mirrabrook, lecz nadal nie odrywał wzroku od oszronionej szklanki.

Uważał, że nie ma na świecie nic ważniejszego niż zimny napój w czasie upału, szczególnie gdy ktoś miał za sobą trzy tygodnie wędrówki ze stadem bydła. Na dodatek Marsha zachowywała się, jakby był jej własnością. Zupełnie mu się to nie podobało.

Zły humor nie opuszczał go od rana. On i jego brat Reid wrócili o świcie na farmę w Southern Cross. Byli głodni, ich żołądki gwałtownie domagały się solidnej porcji steku i sadzonych jaj. Zamiast tego na środku stołu obok cukiernicy czekała na nich kartka. Przeczytali ją dwukrotnie, nim wreszcie pogodzili się z myślą, że ich młodsza siostra, Annie, wyjechała do miasta na „obiecującą randkę”. „Nie

martwicie się o mnie - pisała. - Wrócę za tydzień lub dwa. Nic mi się nie stanie. Zatrzymam się u Melissy Browne".

Było to zupełnie niepodobne do Annie, żeby tak zniknąć bez uprzedzenia. Oczywiście miała prawo od czasu do czasu wyskoczyć do miasta, ale wtedy ktoś musiał zajmować się domem. Coraz bardziej wściekły Kane stracił kilka godzin na wyjazd do Mirrabrook, żeby szybko znaleźć kogoś do pomocy. Szukał rozsądnej kobiety, która pracy w Southern Cross nie potraktuje jako okazji, by zaciągnąć któregoś z braci McKinnonów do ołtarza. Niestety nie znalazł nikogo odpowiedniego.

- Nigdy jej tu nie widziałam, a ty? - Marsha nadal obserwowwała młodą kobietę, która przed chwilą weszła do pubu.

Wzruszył ramionami. Marsha każdą kobietę traktowała jak rywalkę. Pewnie z tego powodu nosiła coraz krótsze szorty i coraz głębsze dekolty. Dziś miała na sobie top nie większy niż oszczędny opatrunek.

Był to kolejny powód do irytacji. Nie przepadał za pruderyjnymi kobietami, ale od pewnego czasu stroje i sposób bycia Marshy stały się zbyt ostentacyjne.

- Dlaczego gapi się na ciebie? - szepnęła.

- Nie mam pojęcia - mruknął. Dlaczego nie docierało do niej, że takie uwagi zaczynają go nużyć?

- Pewnie za chwilę się dowiesz. - Przysunęła się bliżej, dotykając go biodrem.

Odwrócił się, by w końcu przekonać się, dlaczego Marsha robiła tyle zamieszania. Trzymajcie mnie! - pomyślał. Wszyscy faceci, którzy akurat znaleźli się w Mirrabrook, gapili się na tę kobietę. Kane wcale im się nie dziwił.

Najpierw rzucała się w oczy delikatna sukienka, ciemnożółta, sięgająca kolan. Potem zwrócił uwagę na mleczno-białą cerę i długie, falujące włosy w kolorze dobrego koniaku. Na tle szklanek po piwie i fragmentów końskiej upręży rzuconej na stół bilardowy wydawało się, że ta młoda kobieta zeszła z ekranu jakiegoś filmowego romansu z wyższych sfer. Zupełnie nie pasowała do tego otoczenia.

Jednak najbardziej zaskakujący był fakt, że bez wahania ruszyła prosto w stronę Kanea, patrząc na niego zielonymi oczami. Pomyślał, że wyglądała jak Joanna d'Arc, która zaraz poprowadzi atak na Brytyjczyków. Odruchowo zsunął się z wysokiego stołka, a wilgotną od szklanki z piwem dłoń dyskretnie wytarł o dzinsy.

- Kane McKinnon? - spytała nieznajoma, stając przed nim. Lekko skinęła głową w stronę Marshy, a do niego wyciągnęła szczupłą dłoń. - Nazywam się Charity Denham. Pewnie znasz mojego brata, Tima.

Siostra Tima Denhama, pomyślał. A to niespodzianka. Zielone oczy przyglądały mu się badawczo. Odpowiedział pewnym spojrzeniem. Nie była podobna do brata, jedynie miała ten sam elegancki angielski akcent.

- Oczywiście, znam Tima. - Wymienili uścisk dłoni.

- Zdaje się, że pracował dla ciebie na farmie w Southern Cross?

- Tak, zajmował się jednym z naszych stad. Przyjechałaś tu na wakacje?

- Nie. - Spuściła wzrok i zacisnęła usta, jakby zbierała siły do dalszej rozmowy. Wreszcie znów spojrzała na Kane'a.

- Szukam brata.

- Z jakiegoś specjalnego powodu?

- Tim zniknął. Już od ponad miesiąca ani ojciec, ani ja nie mamy od niego żadnych wiadomości.

Marsha prychnęła zniecierpliwiona.

- Miesiąc? Też coś. Tim Denham jest na tyle dorosły, żeby zadbać o własne sprawy. Na pewno się nie ucieczy, gdy się dowie, że siostra zjeździła pół świata, żeby go znaleźć.

- Pozwól, że przedstawię ci Marszę - wtrącił Kane, a gdy wymienili chłodne uśmiechy, zaproponował: - Charity, może napijesz się czegoś?

- Dziękuję, chętnie. Może sok z limonki.

- Ja zamówię - zaoferowała się Marsha.

Kane zerknął na nią, zdziwiony tak niespodziewaną uprzejmością, przesuając w jej stronę kilka pomiętych banknotów.

Marsha spojrzała na Charity.

- Ejże, na pewno masz ochotę na coś innego. Wezmę dla ciebie dzin z tonikiem. Wiem, że angielskie dziewczyny właśnie to piją.

- Cóż... Niech będzie, ale niedużo. Dziękuję.

Marsha przeszła na przeciwległy koniec baru. Charity obserwowała ją w zamyśleniu.

- Wskakuj. - Kane skinął głową w stronę wysokiego stołka.

Usiadła, składając skromnie dłonie na podołku. Kane zasiadał, jak to miał w zwyczaju, opierając obcas buta do konnej jazdy o poprzeczkę stołka i wygodnie wyciągając drugą nogę.

- Jak mnie znalazłaś?

- Spytałam na pocztce, jak dojechać do Southern Cross.

Urzędniczka powiedziała mi, że dziś jesteś w miasteczku i znajdę cię właśnie tu.

Skinął głową. W tej miejscinie nie można było wytrzeć nosa, żeby nie dowiedziała się o tym Rhonda. Siedziała na poczcie i informowała wszystkich o wszystkim.

- Mam nadzieję, że pomożesz mi znaleźć brata. - Nie bawiąc się we wstępne uprzejmości, natychmiast przystąpiła do rzeczy.

- Nie powinnaś tak się przejmować. Tim naprawdę potrafi dać sobie radę.

- Od ponad miesiąca nie dał znaku życia. Dobrze wiedział, jak bardzo ojciec i ja będziemy martwić się o niego. Ojciec kazał mu przysiąc na Biblię, że będzie do nas pisał o tym, co się z nim dzieje.

- Przysięgał na Biblię? - Kane nie potrafił ukryć zdumienia.

- Tim nie mówił, że nasz tata jest proboszczem parafii św. Albana w Hollydean?

-Nie.

- Zafundował Timowi bilet na przelot do Australii pod warunkiem, że będzie z nami w kontakcie. Regularnie dostawaliśmy od niego wiadomości i nagle cisza.

- Na pewno wszystko z nim w porządku.

Spojrzała z napięciem.

- Jesteś pewien? Wiesz, gdzie jest?

Wzruszył ramionami.

- Miałem na myśli, że Tim to rozsądny facet. Potrafi zadbać o swoje sprawy.

- Nie zna Australii.

- Nie doceniasz brata. Szybko się uczył i świetnie dawał

sobie radę. Oczywiście musiał znosić docinki chłopaków za ten swój wielkopański akcent, ale był dobrym pracownikiem. Bez problemu radził sobie z końmi.

- Kiedy wyjechał? I dokąd?

- Cztery czy pięć tygodni temu, ale nie mogę powiedzieć dokąd.

- Nie wiesz, a może nie chcesz?

Zaskoczyła go tym pytaniem i niewiele brakowało, by zdradził zbyt wiele.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej - rzucił od niechcienia.

- Wiem tylko, że wyniósł się z naszej okolicy.

- Tim nie powiedział, dokąd się wybiera ani co zamierza robić?

Kane wzruszył ramionami.

- To wolny kraj.

Pokręciła głową z niezadowoleniem.

- Tutaj każdy może przyjechać lub wyjechać, kiedy mu się podoba - mówił dalej Kane, jakby próbował się bronić. - Ludzie ciągle podróżują. Jeśli trafia się jakaś okazja, każdy ma wolny wybór. Może Tim chciał się uwolnić od nieustannej opieki rodziny? - dodał z prowokującym spojrzeniem.

W odpowiedzi zdobyła się na błądy uśmiech.

- Młodego chłopaka, jak Tim, nie można ciągle trzymać na smyczy.

Niecierpliwie potrząsnęła głową.

- To samo powiedziała policja, ale boję się, że chodzi o coś innego.

- Już zdążyłaś pójść na policję?

- Oczywiście. Pojechałam do Townsville. Wpisali Tima na listę zaginionych, ale zlekceważyli sprawę. Tłumaczyli

mi, że młodzi ludzie często uciekają z domu, ale Tim nie zrobiłby czegoś takiego.

- Skąd ta pewność?

W zielonych oczach pojawił się błysk.

- Znam mojego brata. Opiekowałam się nim od czasu śmierci mamy. Miał wtedy siedem lat.

Kane spojrzał zaskoczony.

- Chyba byłeś za młoda, żeby wziąć na siebie taką odpowiedzialność.

- Miałam czternaście lat.

- Świetnie dałaś sobie radę. - Spojrzał na dno pustej szklanki. - Czego jeszcze dowiedziałaś się od policji?

- Niewiele. Sprawdzili konto bankowe Tima. Nie było żadnych wypłat. Uznali to za dowód, że nie zrabowano mu dokumentów i nikt nie próbował podszyć się pod niego. Jednak jeśli Tim nie korzystał z pieniędzy, mógł mieć jakiś wypadek. Mógł nawet stracić życie i nikt o tym nie wie.

- Tylko nie wpadaj w panikę - powiedział Kane uspokajającym tonem. - Ode mnie dostał wypłatę w gotówce, więc nie wyjechał stąd bez grosza.

Głośne stukanie obcasów Marshy rozległo się za ich plecami. Podała im napoje i spojrzała z kwaśnym uśmiechem. Zapadła cisza, wreszcie Charity cicho westchnęła i powiedziała:

- Zdaję sobie sprawę, że zachowuję się jak kura, która rozgląda się za zaginionym pisklęciem, ale naprawdę się martwię. Tim jest jeszcze taki młody. Ma dopiero dziewiętnaście lat.

Marsha sapnęła, jakby chciała coś wtrącić, ale Kane spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- W tym kraju chłopak, który ma dziewiętnaście lat, jest wystarczająco dorosły, żeby głosować, kupować alkohol i walczyć za ojczyznę - stwierdził.

- Rozumiem, ale chcę go odnaleźć. Jeśli chciałbyś mi pomóc, gdzie radziłbyś zacząć poszukiwania?

Wzruszył ramionami.

- On może być wszędzie.

- Jestem pewna, że możesz bardziej się postarać.

Kane westchnął. Gdy tylko zobaczył Charity, powinien od razu się domyślić, że nie należy do tych, którzy łatwo się poddają.

- Dobrze, wytłumaczę ci jak najprościej. - Zaczął wyliczać na palcach: - Twój brat może zajmować się bydłem na jakiejś odległej farmie albo pędzić stado daleko na północy, co oznacza sześć lub nawet osiem tygodni w siodle. Może łowić ryby w zatoce albo płynię na trawlerze poławiaczy krewetek gdzieś w okolicach Karumby. Wystarczy?

- Ponieważ nie odpowiedziała, ciągnął dalej: - Może szukać złota w okolicach Croydon albo szafirów w Annacie. Może też teraz siedzieć przy barze na Magnetic Island lub innej wysepce i gawędzić z jakimś turystą.

Słuchając go, zagryzła dolną wargę i pokręciła głową.

- Żadna z tych spraw nie powinna mu przeszkodzić, żeby zadzwonić do nas, wysłać maila lub choćby list.

- Może być zbyt zajęty lub jest gdzieś na odludziu.

Charity spojrzała w zamyśleniu na kostki lodu w szklance i upiła kolejny łyk.

- Możesz mi wierzyć, że z twoim bratem jest wszystko w porządku - zapewnił cicho Kane.

- Skąd to możesz wiedzieć?

Szybko opróżnił drugą butelkę piwa.

- Posłuchaj, nie powinnaś tu się kręcić. To nie jest miejsce dla ciebie. Wróc na wybrzeże. Dlaczego nie zwiedzisz Australii? Jeśli już tu jesteś, zrób sobie wakacje. Mam domowy adres Tima. Skontaktuję się z tobą, gdy dowiem się czegoś.

Wiedział jednak, że Charity tak łatwo nie zrezygnuje. Cóż, zadała pytania, więc odpowiedział, a teraz chciał, żeby odjechała. Ku jego zaskoczeniu, zgodziła się. Pospiesznymi łykami dopiła dzin z tonikiem.

- Dziękuję za drinka - powiedziała. - Miałam nadzieję, że mi pomożesz, ale skoro nie jesteś w stanie, spróbuję znaleźć kogoś innego w tej okolicy, kto znał Tima.

Gdy zeskoczyła ze stołka, poczuła się niezbyt pewnie na nogach. Ciekawe, ile dzinu kazała wlać Marsha? - pomyślała.

- Dziękuję za poświęcony mi czas. - Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Zapamiętaj moją radę. - Ujął jej delikatną dłoń. - Wróc na wybrzeże i zabaw się trochę.

Odwróciła się do Marshy, która nagle się rozpromieniła.

- Miło było cię poznać.

- Mnie również. - Charity pomachała ręką na pożegnanie, uniosła wysoko głowę i ostrożnie stawiając kroki, ruszyła do wyjścia. Kane miał jeszcze przed oczami jej zdecydowaną minę, gdy tu wchodziła. Nie był specjalnie dumny, że pozbawił ją złudzeń.

Panie McKinnon, dziękuję, że nic pan dla mnie nie zrobił, pomyślała Charity. Zła i rozczarowana usiadła na dREW-

nianej ławce przed wejściem. Przejechała taki szmat drogi z nadzieją, że Kane McKinnon jej pomoże, lecz usłyszała tylko tyle, że powinna się wynieść z tej okolicy. Odniosła wrażenie, że nie był z nią do końca szczery. Czyżby coś przed nią ukrywał? Mówił tak, jakby chciał ją przed czymś ostrzec, a może nawet była to zawoalowana groźba?

W takim razie jeśli nie on, to kto mógłby jej pomóc? Policja też nie spieszyła się do działania. W tym ogromnym, dziwnym kraju Charity czuła się, jakby wylądowała na księżycu. Nie miała pojęcia, co robić dalej.

Kane McKinnon dał jej do zrozumienia, że Tim, pochłonięty czymś nad wyraz fascynującym, po prostu zapomniał o rodzinie. Może zbyt wiele wymagała od brata? Chłopak mógł się zakochać po uszy i zapomnieć o świecie, ale to nie tłumaczyło jego milczenia.

- Twój Tim to słodki przystojniak.

Zaskoczona Charity odwróciła się w stronę Marshy.

- Witaj ponownie.

- Prawdziwy dżentelmen - powiedziała Marsha, podchodząc bliżej. Wielkie kółka w uszach cicho dźwięczały przy każdym kroku.

- Dobrze znałaś Tima?

- Wystarczająco. - Z miną tryskającą życzliwością usiadła obok Charity. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że Kane potraktował cię zbyt szorstko. Przyjechałaś z daleka i nikogo tu nie znasz.

Charity otworzyła szeroko oczy. Była coraz bardziej zdziwiona.

- Może usiądziemy w jakimś spokojnym miejscu i poplotkujemy o twoich problemach w cztery oczy?

- To miło z twojej strony - powiedziała Charity, ukrywając zaskoczenie.

Marsha była zupełnie inna niż jej dotychczasowe przyjaciółki. Do głowy by jej nie przyszło, że mogłaby się zaprzyjaźnić z dziewczyną Kanea, a raczej, jak przypuszczała, jedną z jego licznych dziewczyn. Tutejszym kobietom jego jasnoniebieskie oczy i umięśnione ciało musiały wydawać się atrakcyjne.

- Chodźmy do ogródka z piwem i napijmy się czegoś - zaproponowała Marsha z uśmiechem.

-Dziękuję.

Jak mogłaby odmówić? I tak nie miała pomysłu na dalsze działanie.

Minęły boczne drzwi i znalazły się na miłym, ocienionym podwórku, wyłożonym czarnymi i białymi płytkami. Pergola obrosnięta winoroślą rzucała długi cień. Z wiszących koszy wypełnionych ziemią wychylały się paprocie.

- Tu jest zaciszniej - powiedziała Marsha, wskazując jedyną parę siedzącą w odległym końcu. - Zajmij miejsce, a ja przyniosę coś do picia.

- Pozwól mi zapłacić.

Charity wyciągnęła portmonetkę z torebki, ale Marsha machnęła ręką.

- Postawisz następną kolejkę.

Charity miała poważne wątpliwości, czy wytrzyma trzecią kolejkę. Pewnie z powodu upału już po pierwszym drinku poczuła się niepewnie. Jednak nim zdążyła zaprotestować, Marsha zniknęła za drzwiami.

Wróciła po krótkiej chwili.

- Na zdrowie. - Stuknęła szklanką w jej szklankę.

- Na zdrowie. - Charity upiła łyk. - Pracujesz w Mirrabrook?

- Jasne. Mam salon fryzjerski i mnóstwo klientów. Wieczorem padam z nóg.

- Musisz być dobra w tym, co robisz. - Po kolejnym łyku Charity odstawiła szklankę. - Chciałaś mi coś powiedzieć o moim bracie...

Marsha pochyliła się, dzwoniąc kolczykami.

- Między nami mówiąc, zaczęłam się o niego martwić. Tim obiecał wpaść do mnie na urodziny, ale się nie zjawił.

- Chciał się zobaczyć z tobą? - upewniła się Charity, sięgając po szklankę.

Marsha uśmiechnęła się lekko.

- To cię zaskoczyło?

- Ee... właściwie tak

Nie chciała nawet myśleć, po co Tim miałby odwiedzać taką kobietę.

- To dziwne, że zniknął - dodała Marsha.

- Myślisz, że coś mu się stało?

- Nie wiem, ale chętnie ci pomogę w poszukiwaniach.

- To bardzo uprzejme z twojej strony.

Charity zaczęła się zastanawiać, czy zbyt pochopnie nie oceniła tej kobiety. Marsha uśmiechnęła się kolejny raz. Wyciągnęła rękę i uścisnęła jej dłoń.

- Napij się jeszcze. Jestem pewna, że my, kobiety, coś wymyślimy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Charity szukała Tima wszędzie. Obiegła całą plebanię, zaglądała pod łóżka i do każdej szafki. Popędziła na strych, a potem na dół, do kuchni, żeby sprawdzić spiżarnię. W końcu odważyła się zajrzeć do gabinetu, choć była pewna, że młodszy brat nie wszedłby bez zaproszenia do pokoju, w którym ojciec pisał kazania.

Tam również nie było Tima.

Na zewnątrz szalała burza. Wiatr szarpał ramami okien, a gałęzie z hałasem spadały na dach. Charity podbiegła do okna, starając się dostrzec coś w nocnych ciemnościach. Przez krople deszczu widać było tylko połyskujące okna kościoła św. Albana. Chwyciła płaszcz przeciwdeszczowy i wybiegła przed dom. Próbowiła zawołać Tima, ale wiatr i deszcz zagłuszyły jej krzyk. Nie pomyślała o zabraniu lartarki, szła więc niemal na ślepo.

- Tim, proszę cię, odezwij się. Zamartwiam się o ciebie na śmierć. Gdzie jesteś?

Wtedy nagle domyśliła się odpowiedzi na to pytanie. Był na cmentarzu. Błysk pioruna rozjaśnił drogę. Na miękkich nogach minęła cis rosnący za kościołem i ruszyła wzdłuż nagrobków, ślizgając się na mokrej trawie. Starła się nie myśleć o duchach.

Znalazła Tima skulonego na grobie ukochanej matki. Chłopczyk drżał, tuląc się do zimnego marmuru. Mokra, ciemne włosy kleiły mu się do twarzy, z przemokniętej piżamy kapąły krople. Natychmiast przytulił się do Charity. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Chcę, żeby mama wróciła - zachlipał.

- Kochanie... - Objęła go i pocałowała. - Jestem tu i kocham cię. Muszę teraz zastąpić ci mamę.

Ku jej przerażeniu chłopiec wyrwał się z jej rąk i pobiegł, nie zważając na ciemności i szalejącą burzę.

- Nie nadajesz się. Ciągłe gdzieś mnie gubisz! - zawołał.

- Tim, proszę cię, wróć!

Charity obudził jej własny krzyk. Uchyliła powieki. Jaskrawe promienie słońca oślepiły ją przez szpary w żaluzjach. Zamknęła oczy. Rzeczywistość była niewiele lepsza niż koszmarny sen. Tim zaginął w Australii.

Po chwili poczuła ból głowy, a w ustach paskudny niesmak. Co się stało? Z poprzedniej nocy pamiętała tylko długą, sympatyczną rozmowę z Marsha. Właściwie mówiła wyłącznie Marsha. Opowiadała o Timie... jaki to wspaniały facet... Charity miała też niejasne wrażenie, że Marsha wciąż nalegała, by z nią piła, jeśli chce usłyszeć wszystko o swoim bracie.

Jednak jeśli nawet dowiedziała się czegoś ciekawego, nic z tego nie zostało jej w pamięci. W pewnej chwili rozmowa zeszła na Kane'a i jego brata, Reida, ale Charity też niewiele pamiętała. W każdym razie Marsha ostrzegła ją, że od Kanea ma się trzymać z daleka. Teraz czuła się podle. To był jej pierwszy w życiu kac. Na dodatek nie wiedziała, gdzie jest. Nie otwierając oczu, wyciągnęła rękę. Wybada-

ła, że zawinięta w prześcieradło leży na materacu z poduszką pod głową. Powoli odwróciła głowę od okna i uchyliła jedno oko. W tej części pokoju światło nie było tak ostre. W porządku. Przynajmniej nie miała wątpliwości, że jest w sypialni. Tylko gdzie była ta sypialnia?

Odważnie otworzyła drugie oko i rozejrzała się z uwagą. Pokój umeblowany był skromnie. Jediną ozdobę stanowił bukiet zasuszonych dzikich kwiatów na starej sosnowej komódce. Pomalowane na biało ściany od dawna nie były odnawiane. Paskudny dywan w pasy w odcieniach brązu i musztardy pokrywał większą część podłogi. Drzwi prowadziły do sąsiedniego pomieszczenia. Musiała to być łazienka, bo dobiegał stamtąd szum wody i głośnie chlapanie.

Chlapanie? Mój Boże, myślała przerażona, tam ktoś jest, czyli... Jednak zanim doszła do dalszych wniosków, szum wody nagle ustał. Przez kilka sekund panowała cisza. Potem rozległy się kroki i w drzwiach pojawiła się potężna sylwetka. Kane McKinnon we własnej osobie. Poczwała, że brak jej tchu. Jakim cudem znalazła się z nim w sypialni?

Miał na sobie tylko dzinsy. Starła się nie patrzeć na niego, jednak zdążyła zauważyć opaloną skórę, szerokie ramiona i wspaniałe mięśnie. Kane zatrzymał się obok łóżka i spojrzał z góry na Charity. Chciała go zapytać, co robi w jej pokoju, ale słowa uwięzły jej w gardle.

- Dzień dobry - odezwał się.

-Dzień dobry. - Z trudem przezwyciężyła niemłą chrypkę. - Gdzie jesteśmy?

Uśmiechnął się lekko.

- W domku kempingowym na zapleczu pubu w Mirrabrook. Nie pamiętasz?

- Nie. - Poczula gwałtowny ból głowy. - Co robisz w mojej sypialni? - spytała zaczepnie.

- Szanowna panno Denham, to pytanie nie ma sensu.

- Dlaczego? - Oczywiście znała odpowiedź.

- Bo to mój pokój.

- W takim razie jak...? - Zwilżyła językiem wyschnięte usta. - Jak to się stało, że tu jestem?

- Przyniosłem cię. - Uśmiechnął się kpiąco. - W ogródku piwnym ostro piłaś z Marshą. Dla niej to nic nowego, ale ty prawie straciłaś przytomność. Był najwyższy czas, żebyś położyła się spać, a tylko tu było wolne łóżko.

- Rozumiem. Pewnie powinnam być ci wdzięczna.

Czula się nieswojo w towarzystwie półnagiego mężczyzny, szczególnie gdy sama leżała w pościeli. Zachodziła w głowę, co mogło się wydarzyć ostatniej nocy. Czy Kane spał obok niej? A może...? Poczula dreszcz. To niemożliwe, wytłumaczyła sobie w końcu. Spojrzała w jego stronę. Wyciągnął do niej rękę ze szklanką wody i dwiema tabletkami przeciwbólowymi.

- Sądzę, że to ci dobrze zrobi.

- Dzięki. - Nie połknęła tabletek, bo najpierw musiała poznać prawdę. - Chyba nie spaliśmy razem?

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Nie miałem wyboru. To był ostatni domek, jaki mieli do wynajęcia.

- Dlaczego tu zostałeś, zamiast pojechać do domu?

- Musiałem być pewny, że nic ci się nie stanie.

Czyżby mówił prawdę? - pomyślała. Właściwie jakim człowiekiem był Kane McKinnon? Nie miała pojęcia, czy można mu ufać. Opaloną skórę na policzku przecinała bli-

zna sięgająca prawej brwi. W jakich okolicznościach to się stało?

- Co my... ? Czy... kochaliśmy się? - wydusiła wreszcie. Wyszczерzył w uśmiechu białe zęby.

- Do diabła, nie.

- Dzięki Bogu - szepnęła z ulgą.

- Na pewno trudno nazwać to miłością - powiedział powoli.

- Co...? - Charity znów wpadła w przerażenie.

- Była to raczej eksplozja dzikiego, nieopanowanego pożądania...

- Niemożliwe! - zaprzeczyła gwałtownie.

- Owszem, możliwe. Ot, zwykły seks bez zobowiązań.

Jęknęła, szczelnie zawijając się w prześcieradło. Wyobraziła sobie stare dewotki z parafii ojca, spoglądające z wyrzutem na jego upadłą córkę.

- Nie przejmuj się, byłaś cudowna, szalona i zmysłowa - dorzucił Kane.

- Precz! - krzyknęła. Zarazem jednak zaczęła podejrzewać, że po prostu ją nabiera. Zerknęła pod prześcieradło. Była kompletnie ubrana. Brakowało tylko butów. Odetchnęła z ulgą.

Znowu rozejrzała się po pokoju. Pod oknem stało drugie łóżko. Rozrzucona pościel świadczyła o tym, że Kane tam właśnie spał.

- Jeśli tak wygląda australijskie poczucie humoru, to niezbyt przypadło mi do gustu - stwierdziła.

- Lepiej to połknij. - Położył tabletki na jej dłoni. Usiadła i posłusznie popiła je szklanką wody. Starła się nie patrzeć na niego, żeby uniknąć rozbawionego spojrzenia.

- Przyniosłem twoje bagaże, więc możesz teraz pomaszerować pod prysznic. Potem zjesz porządne śniadanie. To powinno postawić cię na nogi przed odjazdem.

- Ale ja nigdzie się nie wybieram - oświadczyła.

Kane McKinnon najwyraźniej starał się ją stąd wypłoszyć jak najszybciej, jednak nie zapomniała, co ją tu sprowadziło. Tim przebywał w tej dzikiej okolicy i nadal nie dawał znaku życia.

- Oczywiście, że wyjeżdżasz. Powinnaś zrobić to już wczoraj.

Drżącymi palcami przeczesła włosy, bezskutecznie starając się je uporządkować.

- Nigdzie nie jadę. Mówię poważnie. Przyjechałam tu, żeby znaleźć brata, i nikt nie będzie mi rozkazywał, a już na pewno nie ty. Marsha mówiła mi, że masz brata i siostrę. Jeśli mi nie pomożesz, porozmawiam z nimi.

- Naprawdę?

- Jasne. Domyślałam się, że znają Tima równie dobrze jak ty.

Wzruszył ramionami.

- Annie niedawno wyjechała do miasta, więc na pewno z nią nie porozmawiasz.

- Nieważne, i tak nie wyjadę. - Zrzuciła prześcieradło i ostrożnie wstała, przytrzymując się nocnego stolika. - Jestem przekonana, że w Mirrabrook dowiem się tego, czego potrzebuję. Nie ustąpię, dopóki nie wyjaśnię, co dzieje się z Timem.

Zadzwonił telefon, przez co Charity nie usłyszała odpowiedzi Kanea na jej buńczuczne wystąpienie.

- McKinnon, słucham? A, to ty, Reid. Tak, jeszcze jestem

w mieście. Niestety nie miałem szczęścia. Nikogo odpowiedniego nie znalazłem. Oczywiście staram się, jak mogę.

Spojrzał z ponurą miną na Charity, która sięgnęła do walizki po czyste ubranie i zniknęła w łazience. Gdy zamknęła za sobą drzwi, słyszała jeszcze, jak Kane powiedział do słuchawki:

- Co możemy zrobić? Musimy poradzić sobie sami.

Pod prysznicem Charity oparła bolące czoło o chłodne kafelki i puściła strumień ciepłej wody. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Łatwo było odgrażać się Kane'owi, że nie opuści Mirrabrook, ale nie miała pojęcia, kto mógłby jej pomóc ani gdzie mogłaby zamieszkać. Wynajęcie takiego domku kempingowego mogło okazać się zbyt kosztowne, a z gotówką było krucho.

Wyszła z łazienki z głową zawiniętą w obszerny biały ręcznik. Całości dopełniały najlepsze, kremowe spodnie i jasnoniebieska jedwabna bluzka. Akurat to wpadło jej w ręce, gdy szła do łazienki. Tymczasem Kane schował mięśnie pod bawełnianą koszulą i siedział na skraju łóżka z ponurą miną.

- Coś się stało? - spytała.

- Mam wyjątkowo upartego brata. - Z dziwną miną spojrzał na jej turban.

- O co chodzi? Co się tak patrzysz?

- Zastanawiałem się, jaki kolor mają twoje włosy, gdy są mokre.

- Nie wiem. Pewnie są po prostu rude.

Stanął tuż obok niej.

- Nie, Charity, twoje włosy nigdy nie mogą być po prostu rude.

Przez chwilę myślała, że sięgnie, by zdjąć jej ręcznik z gło-

wy, jednak powstrzymał się, nie odrywając od niej oczu.

- Przyszłam po szczotkę do włosów - powiedziała niepewnym tonem. Dotychczas żaden mężczyzna nie spoglądał na nią z takim zainteresowaniem. Było to tym bardziej niepokojące, że Kane w ogóle się nie uśmiechał, tylko intensywnie się w nią wpatrywał. W Hollydean przyjaźniła się z kilkoma chłopakami. Jedni byli zupełnie bez wyrazu, innych traktowała bardziej poważnie, jednak w obecności żadnego z nich nie czuła się tak niepewnie i tak dziwnie.

Szybko sięgnęła do torby, chwyciła szczotkę i popędziła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Włączyła suszarkę. Zwykle w domu pozwalała włosom wyschnąć w naturalny sposób, dzięki czemu układały się w miękkie loki, jednak dziś mogłyby wyglądać nawet jak suche patyki, byle tylko Kane McKinnon nie spoglądał na nią w ten sposób.

Jego spojrzenie obudziło w niej ukryte pragnienia, do których sama nie chciała się przyznać. Zaskoczona własną reakcją, spięła włosy w niedbały kok i wróciła do sypialni.

- Teraz wyglądasz jak nauczycielka z niedzielnej szkoły - zauważył.

Z ulgą stwierdziła, że już nie przyglądał się jej tak natarczywie.

- Może dlatego, że rzeczywiście prowadzę niedzielną szkołkę - odpowiedziała z godnością.

Przechylił na bok głowę.

- Czym jeszcze się zajmujesz?

Zirytowana jego kpiącym tonem, uniosła wysoko głowę. Chętnie udzieliłaby mu odpowiedzi, która zrobiłaby na nim wrażenie, jednak każde kłamstwo opłacała duży-

mi wyrzutami sumienia. Nie zajmowała się niczym ambitnym. Podczas gdy większość jej szkolnych znajomych wyjechała na studia lub do pracy w Londynie, ona ciągle tkwiła w Hollydean, pomagając ojcu i Timowi. Gdy rozmawiała z odwiedzającymi ją przyjaciółmi, za każdym razem stwierdzała, że od czasów szkolnych żyła tak, jakby czas zatrzymał się w miejscu.

Zdawała sobie sprawę, że na Kanie McKinnonie jej praca w parafii nie zrobi zbyt wielkiego wrażenia. Pomagała prowadzić chór, uczyła, odwiedzała starych i chorych. Ponadto prowadziła dom. Była tak niezbędna, że na czas jej wyjazdu panie ze Stowarzyszenia Matek zorganizowały dyżury, żeby ją zastąpić.

- Jestem doskonałą gospodynią domową - odpowiedziała, rzucając mu dumne spojrzenie.

Zagwizdał cicho.

- To bardzo interesujące.

Fuknęła niecierpliwie i skrzyżowała ręce na piersiach. Miała już dość jego złośliwości.

- Zdaje się, że wspominałeś coś o śniadaniu?

- Słusznie. Jesteś gotowa?

- Byłabym, gdybym wiedziała, co zrobiłeś z moimi butami.

Pochylił się i wsunął rękę pod jej łóżko. Po chwili podał jej sandały, potrząsając rzemykami.

- Czy te mogą być?

- Jasne, dziękuję - odpowiedziała z kamiennym spokojem i zapięła sprzączki. - Teraz jestem gotowa.

- Świetnie. Chodźmy do jadalni.

Otworzył drzwi i stanął obok, żeby ją przepuścić.

- Gdy już porządnie napełnisz brzuch, powinniśmy porozmawiać. Mam pewną propozycję, która może cię zainteresować.

- Twoją gospodynią? - spytała takim tonem, że Kane niemal zazgrzytał zębami. Zupełnie jakby chciała powiedzieć, że chętnie zajęłaby się dowolnym domem na tej planecie, byleby to nie był jego dom.

- Musisz przyznać, że to całkiem dobry pomysł - mówił, wbijając widelec w parówkę. - Jeśli upierasz się, żeby szukać brata, musisz gdzieś zamieszkać, natomiast Reid i ja potrzebujemy kogoś, kto zajęłby się gotowaniem i prowadzeniem domu.

- Myślę, że tobie i bratu dobrze by zrobiło, gdybyście przez tydzień lub dwa musieli sami zadbać o siebie - stwierdziła mentorskim tonem.

Pewnie tak przemawia do nieszczęsnych dzieci z niedzielnej szkółki, pomyślał Kane.

- Natomiast twojemu bratu dobrze by zrobiło, gdyby kochająca siostra nie śledziła jego każdego kroku.

- Nic nie rozumiesz.

- Ty też.

Spojrzeni na siebie wrogo. Kane wzruszył ramionami i wrócił do jedzenia, natomiast Charity ledwie co skubnęła. Za to sok ananasowy piła nad wyraz chciwie. Myślała przy tym intensywnie.

- Powinnaś zjeść coś porządnego - napomniął ją Kane. - Na kaca najlepszy jest solidny posiłek - mówił, opróżniając talerz z jajecznicy, chrupiącego bekonu, parówek w pomidorowym sosie, kawałka pieczonej baraniny, grzybów...

- Dobrze, zgadzam się - powiedziała nagle.

- Co? - Gdy zaskoczony podniósł na nią wzrok, ujrzał w jej oczach powagę i zdecydowanie.

- Wezmę tę pracę. Potrzebuję jej, a ty potrzebujesz kogoś do pomocy. Stawiam jednak sprawę jasno: pojedę do twojego domu tylko z dwóch powodów. Po pierwsze, muszę gdzieś mieszkać, po drugie, jestem przekonana, że ktoś w tej okolicy pomoże mi w końcu znaleźć brata.

- W tej ostatniej sprawie nie mogę niczego obiecać.

- Wiem, że próbujesz zniechęcić mnie do poszukiwań, ale pozostanę przy swoim zdaniu.

- Jak chcesz. - Wzruszył ramionami.

- Zajmę się domem pod warunkiem, że ty... - Przerwała w pół zdania, czerwieniąc się po uszy.

Kane po raz kolejny zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że córka pastora jest tak ładna. Zgrabna sylwetka, kręcone włosy i błyszczące, zielone oczy przyciągały wzrok każdego mężczyzny. Teraz na dodatek zarumieniła się... Nauczycielka z niedzielnej szkółki nie powinna być tak atrakcyjna. Przez chwilę poczuł skurcz w gardle.

Sięgnęła po szklankę z sokiem ananasowym. Upiła łyk, spoglądając na Kanea.

- Pod jakim warunkiem?

Nie odpowiedziała, ale zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Wreszcie zrozumiał.

- Może teraz ja przedstawię swoje warunki? - Odstawił talerz.

- Masz jakieś?

- Oczywiście.

- W takim razie słucham.

- Niewiele jest kobiet, które zaprosiłbym do domu. - Pochylił się do przodu. - W Southern Cross oprócz Annie nie mieszka żadna kobieta. Gospodarstwem zajmuje się stary pasterz. Podobnie jak ja i Reid jest kawalerem. Mieszkamy wszyscy na odludnej farmie. Trzej mężczyźni i piękna młoda kobieta pod jednym dachem to wystarczający powód do plotek w całej Star Valley. A w tej dolinie plotki rozchodzą się jak błyskawica. Musimy więc od początku ustalić, że nie będzie żadnego zaangażowania... jak by to delikatnie powiedzieć?

- Nie musisz kończyć - wtrąciła czerwona jak burak. - Doskonale rozumiem, co masz na myśli.

Kane z poważną miną wyciągnął do niej rękę, jakby dobijali targu.

- Umowa dotyczy wyłącznie pracy - stwierdził.

- Wyłącznie. Właśnie to chciałam powiedzieć.

- W takim razie wszystko jasne.

Charity spoglądała na niego z taką miną, jakby połknęła żabę.

- Jeszcze jedna sprawa - dorzucił Kane. - Dopóki będziesz u mnie pracować, postaraj się nie zbliżać do dżinu.

Charity była porządnie rozzłoszczona, gdy pomagała Kane'owi załadować zakupy na półciężarówkę. Po co robił te głupie uwagi na temat przyzwoitego zachowania? Oczywiście wiedział, jak bardzo ją to dotknie, ale postąpił tak celowo. By zrozumiała, że nie jest nią zainteresowany.

No jasne! Jedno spojrzenie na Marszę wystarczyło, by wiedzieć, jakie kobiety są w jego typie.

- Myślałam, że w Southern Cross jesteś tylko ty z bratem

i jeszcze jeden pracownik - powiedziała, dźwigając pudło pełne słoików z majonezem i przyprawami. - Dla ilu osób mam gotować?

Zaskoczyła ją ilość zapasów. Skrzynki pomarańczy i jabłek, torby mąki, ryżu i cukru, bańka oliwy z oliwek, opakowania makaronu, warzywa w puszkach, soki owocowe i butelki z piwem musiały zostać zapakowane razem z jej walizką.

- Pewnie przez kilka pierwszych dni wraz z tobą będzie nas tylko czworo. - Zabrał pudło z jej rąk. - Jednak musimy mieć porządne zapasy. Nie możesz co pięć minut jeździć do miasta.

- Tak, oczywiście.

- Mogą jednak zjawić się robotnicy, żeby postawić ogrodzenie. Powinni przyjechać dopiero pod koniec miesiąca, ale jeśli wcześniej skończą poprzednią pracę... Chyba nie sprawi ci różnicy, jeśli ugotujesz kilka dodatkowych porcji?

- Żadnej - zapewniła, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. Była zdecydowana pokonać wszelkie trudności. Musiała dostać się do Southern Cross i porozmawiać z Reidem McKinnonem. Liczyła na to, że w końcu znajdzie sposób, żeby wydobyć z Kanea więcej wiadomości. Czowała, że nie powiedział jej wszystkiego o Timie. Żałowała, że Annie akurat wyjechała do miasta. Miała jednak nadzieję, że znajdzie w okolicy parę osób, które odpowiedzą na kilka dyskretnych pytań.

Kane zarzucił brezentową płachtę na towar i przywiązał ją solidną liną.

- To powinno zatrzymać większość kurzu. - Odwrócił się do Charity. - Czas ruszać w drogę, Chazza.

- Słucham? Kto to jest Chazza?

- Przepraszam - uśmiechnął się - tak mi się wymknęło. Może to nie świadczy o najlepszych manierach, ale ciągle przekręcamy imiona. Na Barryego mówimy Bazza, Kerry to Kezza. Na ciebie zaraz zaczną mówić Chazza, chyba że wolisz Chaz?

- Czy moje prawdziwe imię sprawia jakieś problemy?

- Nie, ale raczej nie unikniesz przezwiska, nawet jeśli będziesz bardzo się starać.

- W takim razie wolę Chaz.

Odpowiedział uśmiechem.

Tim wspominał jej w listach, że Australijczycy są bardzo bezpośredni. Pisał o żartach i psikusach, które mu robili, żeby przekonać się, jak zareaguje. To był ich sposób na poznanie kogoś nowego. Było oczywiste, że nowy kumpel miał prawo się zrewanżować. Pomyślała, że Tim świetnie dawał sobie radę w takich sytuacjach, natomiast ona była zbyt poważna, żeby sypać żartami jak z rękawa.

- Chaz, Chaz Denham - powtórzyła sobie pod nosem.

Brzmiało niezłe, a nawet trendy. Oczywiście nigdy nie starała się być trendy, za nic też nie przyznałaby się Kane'owi, że przezwisko przypadło jej do gustu. Wspięła się na miejsce pasażera, trzasnęła drzwiami i zapięła pas.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ruszyli główną ulicą Mirrabrook. Minęli niewielki drewniany kościół, posterunek policji, małą pocztę, kilka sklepów i biur, świeżo odmalowaną kawiarnię i obszerny, nowoczesny budynek, w którym mieściła się biblioteka oraz redakcja lokalnej gazety „Mirrabrook Star”. Dalej ciągnął się szereg drewnianych domków z blaszanymi dachami, cienistymi werandami i ogródkami pełnymi barwnych kwiatów. Tam, gdzie kończył się rząd domków, rozrastały się drzewa kauczukowe, dochodząc do samej drogi, która ginęła gdzieś w buszu.

Szybko dojechali do drogowskazu, na którym oznaczono kierunek do Breakaway Station oraz Southern Cross Station. Wzięli ostry zakręt i znaleźli się na wyboistej bocznej drodze. Pod bezchmurnym niebem mijany krajobraz wydawał się zlewać w pasy w różnych odcieniach brązu: zakurzone liście, szarobrązowe pnie drzew, wyschnięta trawa, spod której czasem wychynęła różowoczerwona ziemia. W oddali majaczyły szczyty gór. Star Valley zupełnie nie przypominała doliny, którą Charity wcześniej sobie wyobrażała. Dotychczas widywała angielskie doliny pokryte miłą dla oka zielenią, wyglądające jak fałdy w aksamitnej tkaninie.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że dolina w Queenslandzie będzie zupełnie inna niż w rodzinnym Derbyshire. Tim opisywał w listach rozległe przestrzenie, jednak nigdy nie dotarło do niej, jak wielkie obszary miał na myśli. Teraz, patrząc na busz, poczuła dreszcz. Gdzieś w tym dzikim, nieprzyjaznym otoczeniu mógł być jej brat.

Ciężarówka podskoczyła na jakiejś nierówności. Charity chwyciła się klamki i zaparła nogami o podłogę. Dlaczego Timowi zależało właśnie na Australii? - pomyślała. Gdyby ona miała ruszyć w świat, wybrałaby jedno z eleganckich europejskich miast jak Paryż czy Wenecja, Wiedeń lub Praga. Na pewno nie ten ciągnący się bez końca dziki busz.

Gdy leciała samolotem, znalazła w jakimś czasopiśmie artykuł, w którym podano, że Australia jest dwadzieścia cztery razy większa od Wielkiej Brytanii, Tim mógł być gdziekolwiek w tym ogromnym kraju.

Jechali bez końca krętą, zakurzoną drogą, przecinali wyschnięte, kamieniste potoki, potem wspinali się na urwiste brzegi, by znów pędzić przez płaską równinę. Najbardziej zaskoczył Charity brak ludzkich siedzib. Jednak w pobliżu musiał ktoś mieszkać, bo nagle zauważyła znak z napisem: „Uwaga! Bydło na drodze”. Nieco dalej stado dziwnych krów z obwisłymi uszami odpoczywało w cieniu drzew kuczukowych. Trawa wokół była zupełnie wyschnięta.

- Jak wam się udaje w tym kraju hodować bydło? - spytała.

- Brytyjskie rasy by tutaj nie przetrwały. Nasze skrzyżowane są z rasą brahman. Świetnie radzą sobie w tropikalnym klimacie.

- Co te biedactwa jedzą?

- Sucha trawa nadal ma wartości odżywcze, tak jak dla nas suszone owoce. Mamy też dla nich dodatkową paszę. Największym problemem jest woda. Pompujemy ją ze strumieni do koryt. Jednak gdy strumienie wyschną, mamy poważny kłopot.

- Ciężko tu się żyje - stwierdziła.

Kane wzruszył ramionami.

- Lekka praca to żadna przyjemność.

Charity pomyślała, że większość jej znajomych marzy o lekkiej, dobrze płatnej posadzie.

- Zjawiał się akurat w najgorszym momencie, gdy kończy się okres suszy - dodał po chwili.

- Bardzo się tu zmienia po deszczu?

- Nie do poznania. Zresztą w tej okolicy nie trzymamy bydła zbyt długo. Tutaj cielęta się rodzą, ale nie mają odpowiednich warunków, by osiągnąć właściwą wagę. Dlatego wywozimy je na naszą drugą farmę niedaleko Hughenden, gdzie świetnie się rozwijają.

- Rzeczywiście, na tej trawie nie miałyby na to szans - stwierdziła w zadumie. Znow pomyślała o Timie. Czy mógł zabłądzić i skonać z głodu? - W Anglii słyszy się czasem o ludziach, którzy zmarli na takim odludziu.

- Bywa i tak, jednak zwykle zdarza się to tym, którzy przyjechali tu prosto z miasta i nie znają buszu. Twój brat był bystry i na pewno dałby sobie radę.

Spojrzała przez boczną szybę. Szary kangur uciekał między drzewa. Był to pierwszy kangur, jakiego zobaczyła w Australii, ale była zbyt zmartwiona, by uznać to za wielkie wydarzenie.

- W jakim nastroju zwykle był Tim? - spytała. - Wyglądał na zadowolonego?

- Tak. Podobało mi się u niego, że był skromny. Zajmował się swoją pracą i starał się nie zwracać na siebie uwagi. Doskonale do nas pasował i na pewno teraz też daje sobie radę.

Kane był przekonany, że z Timem było wszystko w porządku. Po raz kolejny Charity odniosła wrażenie, że wiedział więcej, niż chciał powiedzieć. Co przed nią ukrywał? Zerknęła na niego badawczo. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Uśmiechnął się ciepło i uspokajająco, bez dotychczasowej ironii i złościwości.

Zatrzymali się w cieniu drzew nad wyschniętym strumieniem i wyciągnęli butelki z wodą.

- Przynajmniej tutaj Marsha zostawi cię w spokoju - stwierdził Kane, widząc, że Charity bierze kolejne tabletki na ból głowy. Zaskoczyło ją, że robił takie uwagi pod adresem swojej dziewczyny.

- Kiedy dotrzemy do Southern Cross? - spytała, nie podejmując tematu.

- Od pół godziny jesteśmy na terenie posiadłości i mniej więcej za tyle czasu będziemy na miejscu.

Gdy zbliżali się do domu McKinnonów, zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać. Wreszcie zatrzymali się obok niewielkiej, rozpadającej się rudery. Kane wyskoczył z pikapu i zaczął odwiązywać linę przytrzymującą plandekę. Charity na widok budynku zamarło serce. To miała być rezydencja Southern Cross? Widok był żałosny. Zapyłony wybieg dla zwierząt, zardzewiały, blaszany dach, krzywa ze starości weranda, drewniane ściany, któ-

re nigdy nie widziały farby. Zaczęła żałować pochopnej decyzji.

Poczuła powracający ból głowy, gdy tylko wysiadła z auta i stanęła na ziemi. Słońce niemiłosiernie paliło jej plecy, a nieodpowiednie ubranie przylepiło się do ciała. Z każdym krokiem wzbijała tuman kurzu, który osiadał na sandałach i stopach. Kane chwycił dwie skrzynki warzyw i oparł je sobie na ramionach.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Wzięłabyś to pudło z puszkami?

- Oczywiście.

Ruszyła za nim po trzeszczących, drewnianych schodach. Rozległo się szczekanie. Dopiero teraz zauważyła, że do jednej z belek podtrzymujących werandę przywiązany był łaciaty pies.

- Dzień dobry, Bruiser! - zawołał Kane. - Pan w domu?

Pies zaczął układać się do drzemki, gdy Kane otwierał frontowe drzwi, popychając je łokciem. Charity weszła za nim i poczuła dreszcz obrzydzenia. Niemożliwe, żeby jego siostra Annie tak zaniedbała wnętrze. Podłoga wyglądała, jakby nikt nie zamiatał jej od tygodni. Niewielki stolik zarzucony był puszkami po piwie i czasopismami, a pełne popielniczki dopełniały obrazu. Okna pozbawione były zasłon, wybitą szybę zastąpiono zaś szmatą. Wąskie przejście na tył budynku ozdabiało popękane linoleum, pozostałość dawnych, dobrych czasów.

Kane przeszedł do kuchni, postawił warzywa na rozchobotanym stole i otworzył lodówkę. Charity jęknęła.

- Jest pełna piwa!

Spojrzał na nią przez ramię.

- Faceci w buszu mają swoje potrzeby.

- A twoja siostra? Jak może tu mieszkać?

Zatrzasnął drzwi lodówki i odwrócił się do Charity, opierając ręce na biodrach.

- Odnoszę wrażenie, że to miejsce cię nie zachwycało...

Z trudem przełknęła ślinę. Nie mogła znieść myśli, że miałyby tu mieszkać, ale dobre wychowanie nie pozwalało jej urazić Kane'a.

- Może jednak nie poradzisz sobie z porządkami? - ' spytał lodowatym tonem.

- Postaram się - zapewniła drżącym głosem. - Chociaż nie widzę, by ktokolwiek próbował zadbać tu o cokolwiek.

Wtedy Kane zaczął się śmiać. Poczowała, że dłonie zaciskają jej się w pięści. Miała ochotę go uderzyć. Było jej gorąco, głowa pękała z bólu, martwiła się o Tima, a teraz czekało ją mieszkanie w tej obskurnej norze.

- Spokojnie, Chaz.

- Spokojnie? - niemal krzyknęła.

- To nie jest Southern Cross. Tu zatrzymują się pastarze pędzący stada. Teraz mieszka tu tylko jeden, któremu właśnie uzupełniłem zapasy.

- Na litość boską! - Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Chyba byś ciężko zachorował, gdybyś przestał się ze mną drażnić!

- Nie mogłem się powstrzymać. Przepraszam. - Jednak raczej nie było mu przykro. - Z Annie przekomarzam się w ten sposób od dziecka. To po prostu takie złe przyzwyczajenie.

- Niewątpliwie. Bardzo współczuję twojej siostrze i byłabym wdzięczna, gdybyś wreszcie przestał.

- Annie ma poczucie humoru.

- Mogę jej tylko zazdrościć, bo swoje straciłam, gdy zniknął Tim.

Kane przestał się uśmiechać. Rozejrzał się po kuchni i wzruszył ramionami.

- Nie wygląda na to, żeby Ferret miał się teraz pojawić, więc zostawię to na stole i możemy jechać dalej.

- Do Southern Cross?

-Tak.

Pasterska szopa nadszarpnęła wyobrażenia Charity o tu-tejszym życiu. Gdy ruszyli dalej wyboistą drogą, przygotowywała się na kolejne rozczarowania. Już wcześniej doszła do wniosku, że jeśli ludzie mieszkają w głuchej dziczy, nie zależy im na pięknym domu, którym, mogliby imponować sąsiadom. Jednak nie wyobrażała sobie, że mogą żyć w tak prymitywnych warunkach. Jak czują się w tym wszystkim kobiety takie jak Annie McKinnon? - pomyślała.

- Już dojeżdżamy - powiedział po jakimś czasie Kane. Wyjrzała przez zakurzoną szybę. Między drzewami mignęły białe i zielone fragmenty nieokreślonego kształtu.

Droga skręcała gwałtownie. Zatrzymali się przed metalową bramą połyskującą białą farbą. Dalej rozciągał się doskonale utrzymany trawnik otoczony palmami i rabatkami drobnych białych kwiatów. W głębi stał przysadzisty drewniany budynek w śnieżnobiałym kolorze. Otaczały go szerokie, cieniste werandy ozdobione pnączami, na których rozkwitały białe kwiatki.

- Cudownie to wygląda - przyznała Charity. Była zaskoczona, jakby nagle znalazła się w bajkowym świecie.

- To miejsce jest bardziej w twoim guście?

Nie mogła się pozbyć wrażenia, że z pustyni wjechała prosto do oazy.

- Jest fantastyczne - stwierdziła z zachwytem. - Jak udaje się wam utrzymać trawnik w tak rewelacyjnym stanie?

- Zajmuje się nim stary Vik. - Kane wskazał wodociąg za linią drzew. Charity zauważyła go już wcześniej. Ciągnął się wzdłuż drogi aż do posiadłości. - Pompuje wodę ze strumienia. Kiedy strumień wysycha, trawnika nie da się uratować.

- Często się to zdarza?

- Raz na kilka lat mamy prawdziwą suszę. Jeśli w tym roku nie będzie wystarczających opadów, też zaczną się takie kłopoty.

Podjechał od tyłu budynku, żeby załadować zakupy do spiżarni. Gdy tylko się zatrzymali, powitało ich chóralne szczekanie. Z różnych kierunków przybiegły trzy psy: czarny labrador, kundel w szare i białe łaty oraz collie. Kane szybko zerknął na Charity.

- Boisz się psów?

- Nie, przepadam za nimi. W domu też mamy collie.

Zauważyła, że collie zerknął z nadzieją na ciężarówkę, potem odwrócił się i podreptał na werandę. Położył się, opierając łeb na przednich łapach, i przestał zwracać na nich uwagę.

- To Lavender - wyjaśnił Kane. - Suka, która należy do Annie. Zawsze popada w rozpacz, gdy jej pani wyjeżdża.

- Biedactwo - powiedziała ze współczuciem.

Wysiedli z samochodu.

- Łaciaty jest mój. Świetnie zagania bydło, jest niezawodny. Wabi się Roo.

- Cześć, Roo. - Przyjaźnie podrapała kundla między uszami.

- Labrador ma na imię Gypsy. Należy do Reida.

- Gypsy, jesteś niezwykle urodziwy - powiedziała z uznaniem.

Zza budynku wyszedł zgarbiony, pomarszczony, spalony słońcem starszy mężczyzna. Krzywe nogi były niewątpliwie wynikiem lat spędzonych w siodle. Charity miała wreszcie okazję poznać Vika. Dosłownie pokraśniał z radości, gdy pochwaliła go za piękny ogród.

- Panienko, jeśli chcesz mieć kwiaty w pokoju, możesz zrywać, ile chcesz - powiedział.

- Jeśli będziesz obsypywać go komplementami, zostanie twoim przyjacielem do końca życia - szepnął Kane, gdy Vik zostawił ich samych.

Po części oficjalnej wrócili do zajęć. Kane przegonił Gypsy i Roo.

- Mamy tu trochę pracy, więc wracajcie na swoje miejsca. - Psy z radością wróciły do cienia, a Kane i Charity zajęli się wypakowywaniem. Nosząc skrzynki z warzywami, zerkała do wnętrza domu. Panował tu miły chłód. Pokoje były wysokie, drewniane podłogi błyszcząły, a zabytkowe meble i piękne dywany sprawiały wrażenie niedbałej elegancji. Nie spodziewała się, że Southern Cross sprawi na niej tak dobre wrażenie. Gdyby nie miała na głowie sprawy Tima, praca w tej rezydencji sprawiałaby jej przyjemność.

Kane zastał brata w szopie, która służyła jako warsztat. Grzebał w silniku jednej z ciężarówek.

- Znalazłem gosposię, więc już nie musisz się martwić, że ubrudzisz się w kuchni.

Reid spojrział na niego i roześmiał się.

- Byłem przerażony na samą myśl, że mógłbym sobie zatłuścić palce. - Wytarł w szmatę dłonie czarne od smaru. - A mówiłeś, że w tej części świata nie można znaleźć pomocy domowej.

- Cóż, trafiłem na nią zupełnie przypadkiem.

- Chyba nie należy do klubu twoich wielbicielek?

Kane skrzywił się.

- Daj spokój. Zjawiła się w niedawno w miasteczku i akurat szukała dorywczej pracy.

- Miły zbieg okoliczności. Ma jakieś doświadczenie?

- To Angielka, która prowadziła dom proboszczowi.

Reid kiwnął głową z aprobatą.

- Brzmi zachęcająco. - Dał Kane'owi kuksańca w bok. - Pewnie nieźle gotuje?

- Mam nadzieję. Przekonamy się wieczorem. Na razie wprowadzam ją we wszystko, więc lunch będzie skromny, kanapki z serem i pikle. Prawdę mówiąc, już jest gotowy.

- Świetnie. Umieram z głodu.

Reid odrzucił szmatę i obaj wyszli z szopy. Bracia byli bliźniakami. Mieli podobne sylwetki, ale na tym kończyły się podobieństwa. Kane miał jasne włosy i niebieskie oczy podobnie jak Annie, natomiast Reid był niemal szarym z ciemnoszarymi oczami. Według słów matki, Reid był odrobinę starszy. Podkreślał to przez całe życie, odgrywając rolę starszego brata.

- Jak ona się nazywa? - spytał.

- Chaz.

- Chaz?
- Chaz Denham, a właściwie Charity Denham.
- Denham? Czy nasz początkujący angielski pastuch nie nazywał się tak samo?

- To siostra Tima Denhama.

Reid zatrzymał się jak wryty.

- Co ona tu robi?
- Szuka brata.
- Do diabła, co jej powiedziała?!
- Tylko tyle, że Tim może być wszędzie.
- Jednak bardzo zaryzykowałeś, przywożąc ją do Southern Cross.

- Cóż, miałem już dość twoich awantur w sprawie gospodyni.

- Daj spokój, Kane. Dobrze wiesz, że aż tak bardzo mi nie zależało.

Kane zacisnął zęby.

- Widocznie źle cię zrozumiałem. W każdym razie będzie bezpieczniej, jeśli zostanie tu z nami, zamiast kręcić się po Mirrabrook, zadając kłopotliwe pytania.

- Pewnie masz rację. - Jednak widać było, że Reid nie jest do końca przekonany. - Jak ona wygląda?

- Jest... - Spojrzał w stronę kuchennych drzwi i zobaczył Charity. - Sam zobacz. - Wskazał ruchem głowy w jej kierunku. Na chwilę wstrzymał oddech, czekając na reakcję brata.

Reid gwizdnął cicho.

- Jesteś pewien, braciszku, że wiesz, co robisz?

Kane poczuł dreszcz. Charity przebrała się w niebieską bawełnianą sukienkę bez rękawów i stanęła w drzwiach.

Słońce rozjaśniało jej włosy i dodawało lekkiego połysku jasnej skórze. Każdy malarz chciałby ją teraz uwiecznić na płótnie.

Zauważyła, że na nią patrzą, nieśmiało więc pomachała do nich ręką. Nie wiedziała, że ten niewinny gest w oczach braci wyglądał niezmiernie uwodzicielsko.

- Pozwól, że zajmę się nią i wszystko będzie w porządku
- zapewnił Kane z przekonaniem, choć wcale nie był pewny, czy mu się to uda.

Słaby wiatr nie łagodził południowego skwaru, gdy zasiedli na werandzie do lunchu. Charity nie zamierzała jeść, ale bracia zdecydowanie nalegali. Reid McKinnon był uprzejmy i rozmawiał bez cienia złośliwości, do której Kane już zdążył ją przyzwyczaić. Nie mogła się doczekać, by zapytać o Tima. Miała nadzieję, że Kane choć na chwilę zostawi ich samych i Reid okaże się bardziej otwarty niż brat. Jednak w czasie lunchu pilnowała się, by pytać wyłącznie o sprawy związane z nową pracą.

Na koniec posiłku, gdy obaj mężczyźni zbierali się do odejścia, Reid zwrócił się nagle do brata:

- Zabezpieczyłeś Charity przed poparzeniem?

Kane uniósł brwi.

- Tylko spójrz na nią - mówił dalej Reid. - Jasna skóra i oczy, rude włosy. Jest jak egzotyczny kwiat, który trzeba chronić przed ostrym słońcem.

Kane i Charity wymienili spojrzenia. Poczuli, że się czerwieni. Patrzył na nią jak wtedy, gdy upierał się, że jej włosy nigdy nie mogą być po prostu rude.

- Nie wytrzyma palącego słońca. Musi mieć odpowiedni

strój - kontynuował Reid. - Zaprowadź ją do pokoju Annie. Tam znajdzie wszystko, czego potrzebuje.

- Proszę, nie róbcie sobie kłopotu. Na pewno nic mi się nie stanie. - Nie podobało jej się, że rozmawiają o niej tak, jakby jej tu nie było.

- Moja droga - odezwał się Reid ojcowskim tonem

- wierz mi, musisz mieć coś więcej niż ta śliczna sukienka. Annie ma szafy pełne ubrań. Nie chcę się czuć odpowiedzialny, jeśli w czasie pracy spalisz się na słońcu albo stracisz przytomność z powodu przegrzania. - Spojrzał na Kanea. - Znajdź jej odpowiedni kapelusz. - Po tych słowach wyszedł.

Kane uśmiechnął się do niej.

- Cóż, najlepiej będzie, jeśli posłucham starszego brata.

- Byłam pewna, że wzięłam z sobą odpowiedni strój.

Mam dzinsy i wysokie buty.

- Nie przejmuj się. - Kiwnął głową w stronę korytarza.

- Chodź. Annie ma mnóstwo rzeczy. Na pewno coś znajdziesz dla siebie. Wydaje mi się, że nosicie mniej więcej ten sam rozmiar.

Ruszyła za nim, rozglądając się po domu. W odróżnieniu od pokoju gościnnego, w którym panował idealny porządek, obszerna sypialnia Annie była pełna osobistych drobiazgów, które nagromadziły się przez lata. Oszklone drzwi prowadziły na werandę. Na biurku stał komputer, a obok w malowniczym nieładzie zapas papieru, ołówki, długopisy, książki i kubki. Na ścianie nad biurkiem wisiała tablica z korka, pokryta zdjęciami rodziny, znajomych i ulubionych zwierząt. Przechowały się nawet wyblakłe fotografie aktorów i gwiazd rocka z czasów, gdy Annie była

jeszcze nastolatką, oraz kilka pospiesznych notatek i wycinków z czasopism.

Charity zaczęła się zastanawiać, dlaczego siostra Kane'a wyjechała do miasta. Odniosła wrażenie, że była to nagła decyzja, lecz bracia nie przejęli się tym zbyt. Jedynym zmartwieniem był dla nich fakt, że w Southern Cross nagle zabrakło gosposi.

- Sprawdźmy, co tu mamy - powiedział Kane.

Charity spojrzała zaskoczona. Nie spodziewała się, że zobaczy eleganckie stroje wieczorowe.

- Kiedy Annie to wkłada? - Dotknęła różowej, jedwabnej spódniczki.

- Prowadzimy w buszu życie towarzyskie. Przyjęcia, bale. .. ale teraz potrzebujemy innych ubrań. - Otworzył kolejne drzwi. Wisiał tam cały rząd jedwabnych bluzek z długimi rękawami. - To bardziej się przyda. Weź kilka. Musisz osłaniać ręce przed słońcem. - Z najwyższej półki wyciągnął kapelusz z szerokim rondem i wsadził jej na głowę. - Co ty na to? Pasuje? - Wygiął rondo. - Wygląda nieźle.

- Całkiem wygodny. Dziękuję.

Kane wskazał kolejne półki.

- Tu są dzinsy, jeśli będziesz potrzebować na zmianę. - Sięgnął głębiej do szafy i wydobył parę wysokich butów.

- Nie potrzebuję butów - zaprotestowała. - Przywiozłam swoje. Wspięłam się w nich na Mount Snowdown.

- Pewnie są ocieplane?

- Cóż, tak...

- Te będą lepsze. Buty do konnej jazdy ze skóry kangura.

- Ale ja nie będę jeździć konno.

- Nie szkodzi. Kangurza skóra jest lekka i przepuszcza powietrze. Nie będzie ci za gorąco w stopy. - Podał jej jeszcze parę bawełnianych skarpet.

Charity po raz drugi wkładała buty w obecności Kanea i znów poczuła się nieswojo. Obserwował ją tak, jakby robiła striptiz, a nie wzuwała cholewki pasterskich butów.

- Świetnie pasują. - Zaczerwieniła się, czując na sobie jego spojrzenie.

- No, to masz szczęście - powiedział dziwnie zduszonym głosem. - Znaleźliśmy wszystko, co ci potrzebne, więc teraz możemy zrobić krótką wycieczkę, żebyś poznała okolicę.

Ruszył pospiesznie, by pokazać jej chłodnię, oddzielną od domu specjalnym przejściem, umywalnię, warsztat i wybieg dla koni.

- Chcesz zobaczyć strumień? - Spojrzał nad wyblakłą trawą wybiegu.

- Tak, oczywiście. - Wyobraziła sobie miejsce na spokojne spacerowanie wzdłuż szumiącej wody.

Kilka minut później przekonała się, że strumień rzeczywiście wyglądał przyjemnie i urokliwie. Pod osłoną drzew powietrze było tu znacznie chłodniejsze, woda bulgotała na gładkich kamieniach. Potężne głązy, które przyroda formowała od pradawnych czasów, tworzyły naturalne stopnie. Jasnozielone paprocie i niewysokie trzciny ozdabiały brzegi. Przemykały wśród nich ważki, a wodne żuki ślizgały się po powierzchni wody.

- Cudowne miejsce - powiedziała, gdy przeszli wzdłuż szerokiej skalnej półki. Miło było przekonać się, że w buszu bywały miejsca, które zapewniały chłodne schronienie, gdzie słychać było tylko świergot ptaków i szmer wody.

- Stój! - szepnął Kane i chwycił ją za rękę.

- Dlaczego? - Podskoczyła, jakby nigdy dotąd nie dotknął jej mężczyzna. Usiłowała uwolnić rękę. - Co robisz?

- Wróć tamtędy - polecił.

- Dlaczego?

- Tam jest wąż.

Wąż? - pomyślała przerażona. Kątem oka dostrzegła lekki ruch. Boże, ratunku! Ogromny czarny wąż zapewne zwinął się na skale i wygrzewał w słońcu. Zjawili się jednak intruzi, uniósł więc głowę i rytmicznie poruszał nią na boki.

- Chodź! - nalegał Kane.

Charity była zbyt przerażona, by rozumieć polecenia. Wyrывая rękę z uścisku, cofała się szybko. Chciała być jak najdalej od tego gada. Nigdy dotąd nie widziała węża w naturalnych warunkach. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

- Nie wpadaj w panikę. - Kane był tuż przy niej. - On nie ruszy za tobą. Już jesteś bezpieczna.

W końcu przestała biec. Kane uspokajająco położył jej ręce na ramionach. Gdy spojrzała za siebie, poczuła, że znów wali jej serce. Wąż ostrzegawczo unosił wysoko głowę.

- Bardzo niebezpieczny? - spytała, powoli odzyskując spokój. Obserwowała, jak z gracją zaczął ześlizgiwać się po skałach do płytkiej wody, by po chwili zniknąć wśród roślin.

-W Australii są od niego groźniejsze, ale i tak jest w pierwszej dziesiątce najbardziej niebezpiecznych na świecie.

- Boże! - szepnęła.

Kane delikatnie dotknął opuszkami palców jej rozpalonego policzka.

- Już wszystko w porządku?

- Oczywiście. - Gdy Kane cofnął dłoń, wzięła głęboki oddech i zdobyła się na niepewny uśmiech. - Dobrze, że tu byłeś. Umarłabym ze strachu, gdybym przyszła sama. Wyobrażałam sobie, że to idealne miejsce na chwilę wypoczynku.

- Będziesz bezpieczna, jeśli przyjdiesz tu z psem.

- Nie ja. - Pokręciła głową. - Powiedz, Kane, jak można tu wytrzymać? Odludzie, upał i do tego groźne gady.

W tym momencie nie widziała żadnych zalet życia w buszu. Co tak bardzo zafascynowało Tima? - zachodziła w głowę.

Kane zacisnął usta i spojrzał w dół strumienia.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć, a ty pewnie nigdy tego nie zrozumiesz. - Odwrócił się w jej stronę. - Jak powiedział mój brat, jesteś niczym egzotyczny kwiat. Nie pasujesz tutaj i może lepiej, że długo tu nie zostaniesz.

- Pewnie masz rację...

Jednak gdy wracali do domu, zauważyła, że Kane stracił dobry nastrój. Sama też posmutniała.

Tuż przed zachodem słońca Kane wrócił z warsztatu, gdzie pomagał Reidowi. Wszedł do domu przez boczną werandę i wziął prysznic w łazience najbardziej oddalonej od kuchni. Nie zastanawiając się, czy robi to ze względu na Charity, przebrał się w szare spodnie i świeżo uprasowaną koszulę, zamiast zwykłych dżinsów i bawełnianej koszulki.

Gdy wszedł do kuchni, z ulgą zauważył, że brat też zadał sobie trud, żeby wyglądać porządnie.

Reid wyjął z lodówki dwa piwa, jedno podał Kane'owi i skinął głową w stronę piekarnika.

- Coś tu ładnie pachnie.

W kuchni czuć było cebulę i przyprawy, choć nie wszystkie potrafili rozpoznać.

- Gdzie Charity? - spytał Kane.

- Nie mam pojęcia.

- Jestem tu, w jadalni - zawołała. - Chodźcie, prawie wszystko jest już gotowe.

Bracia wymienili zaskoczone spojrzenia. Kane ruszył do pokoju za Reidem, który ledwie przekroczył próg i stanął jak wryty. Kane niemal wpadł na niego.

Jadalnia była przygotowana jak na przyjęcie. Na stole leżał irlandzki śnieżnobiały obrus, a na nim najlepsze srebrne sztuce McKinnonów i zdobiona porcelanowa zastawa. Przy każdym nakryciu serwetka wykończona koronką, a na środku stołu kryształowy wazon pełen kwiatów. Charity nie zwróciła uwagi na zaskoczone spojrzenia, dopóki nie odezwał się Kane.

- Nie mówiłaś, że zaprosiłaś premiera na obiad.

Uniosła brwi.

- Jest bardziej uroczyście niż zwykle? Nie wiedziałam, gdzie jadacie.

- Najczęściej w kuchni - wyjaśnił Reid. - Chyba że mamy jakąś uroczystość lub gości.

- Hm... - mruknęła rozczerowana. - Macie tyle pięknych rzeczy, że z przyjemnością je wykorzystywałam.

- Nie szkodzi. - Reid zdobył się na swój najlepszy

uśmiech. - Wspaniale, że dla odmiany zjemy tutaj, prawda, Kane?

- Wspaniale - powtórzył za nim brat. Też zdobyłby się na uśmiech, gdyby nadzwyczaj czarujące maniery brata nie wyprowadziły go z równowagi. Przedtem, w czasie lunchu, Reid przejmował się delikatną skórą Charity. Teraz, gdy okazała rozczarowanie, wychodził z siebie, żeby przypadkiem nie straciła humoru. Jeszcze chwila i zaproponuje, że pomoże jej znaleźć Tima.

- Bardzo proszę, siadajcie. Zaraz podam obiad. - Odwzajemniła się Reidowi równie gorącym uśmiechem.

Bracia wreszcie zasiedli nad talerzami pachnącej potrawy, a piwo zostało przelane do kryształowych szklanek. Dopiero wtedy zwrócili uwagę, że stół został nakryty tylko na dwie osoby.

- Chaz, a ty co? - spytał Kane, uważnie ją obserwując.

- Nie przyłączysz się do nas?

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego? Boisz się spróbować własnych potraw? Chyba nie dodałaś trucizny?

- Nie o to chodzi. Zjem później w kuchni.

- W żadnym wypadku - nalegał Kane.

- Przecież jestem gosposią.

- Me pleć bzdur. Nie jesteśmy w Anglii. Tu obowiązują inne zwyczaje.

- Przecież Vik nie je z wami.

- Vik to osobny temat. Ma własny domek i lubi robić wszystko po swojemu. Jednak w każdą niedzielę je z nami.

Nadal miała niepewną minę, Reid ponownie więc użył swego wdzięku.

- Charity, przyjechałaś tu, żeby zastąpić naszą siostrę. Kane i ja nalegamy, żebyś zasiadła z nami.

- Dobrze. - Podeszła do kredensu po sztućce dla siebie. Reid nadal popisywał się wykwintnymi manierami. Odsunął dla niej krzesło, a gdy uniosła pokrywkę znad potrawy, zaciągnął się zapachem. - Pachnie znakomicie.

- Mam nadzieję, że będzie wam smakować - stwierdziła Charity niepewnie.

- Na pewno - odparł Reid.

Napełniła talerze. Kane przyłapał się na tym, że patrzy na nią, a nie na jedzenie. Miała cudowne dłonie, szczupłe palce, białe paznokcie bez śladów lakieru. Poruszała się z wdziękiem, a on obserwował ją jak urzeczony. Gdy wyobraził sobie jej delikatne dłonie na swoim ciele, poczuł falę gorąca...

- Co to za potrawa? - spytał Reid.

- Soczewica z curry - wyjaśniła Charity.

- Soczewica?

Kane gwałtownie wrócił na ziemię, zapominając o marzeniach. Przyjrzał się porcji na talerzu, spojrzął na pozostałe smakołyki. Charity postawiła miskę sałaty i świeżo wypieczony bochenek chleba.

- Czy do tego będzie mięso? - spytał.

-Nie.

- Nie? - upewnił się Reid słabym głosem.

- Dlaczego nie? - spytał Kane.

- Nie zajmuję się mięsem.

- Z jakiego powodu?

Uśmiechnęła się słodko.

- Jestem wegetarianką.

Kane wytrzeszczył oczy.

-Kim?

- W ubiegłym roku wraz z ojcem przestaliśmy jeść mięso w okresie postu i tak już zostało.

- Zadałaś sobie tyle trudu z odświętnym nakryciem stołu, żeby uraczyć nas soczewicą? - spytał Kane i odwrócił się do brata, który wpatrywał się w talerz. - Słuchaj, Reid, jak mi się zdaje, my nie zrezygnowaliśmy z mięsa, prawda?

- Gdy nie odpowiadał, zwrócił się do Charity. - Dlaczego nie uprzedziłaś, że jesteś wegetarianką?

- Nie pytałeś.

- Do diabła, chyba nie spodziewasz się, że przestaniemy jeść mięso, bo ty masz taki zwyczaj?

- Uspokój się, Kane - odezwał się Reid najbardziej dyplomatycznym tonem, na jaki było go stać. - Charity, chyba rozumiesz, że zajmujemy się hodowlą bydła? Podstawą naszego utrzymania jest wołowina.

- Jasne. - Uśmiechnęła się.

- O ile wiem, jedzenie mięsa nie jest grzechem - przypomniał Kane.

- Jeszcze o tym porozmawiamy - uspokajająco wtrącił Reid. - Jedno danie z soczewicy nam nie zaszkodzi.

Oby było tylko jedno, pomyślał Kane. Musiał przyznać, że potrawa była bardzo smaczna. Chleb wypieku Charity był równie doskonały, a sałata świetnie przyprawiona.

Spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się. W jej spojrzeniu wyczuł rozbawienie. Później spoglądał na nią jeszcze kilkakrotnie, ale za każdym razem spuszczała wzrok. W końcu zaczął się domyślać, że ostentacyjnie uroczyste nakrycie stołu i dziwaczna potrawa to był jej rewanż za to, że ciągle

stroił sobie z niej żarty. Chyba najbardziej wyprowadził ją z równowagi, gdy pokazał jej chatę pasterzy jako rodzimą siedzibę, gdzie miałyby pracować. Przekonał się na własnej skórze, że też miała poczucie humoru, co bardzo go ucieszyło.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zgubiła Tima. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem pojechali do Londynu. Szła właśnie zatłoczoną Oxford Street wśród tłumu zajętego świątecznymi zakupami. Matka zniknęła w Selfridges, gdzie chciała kupić ulubiony, importowany ser dla ojca. Charity miała tylko pilnować Tima. Jednak zafascynowały ją świąteczne dekoracje na wystawach i nie wiadomo kiedy Tim zniknął jej z oczu. Zachował się jak złośliwa małpka, zaśmiał się do niej i zniknął w tłumie. Szukała go wzdłuż kolejnych budynków, ale nigdzie go nie było.

Nie wiedziała, co robić. Już wyobrażała sobie przerażenie na twarzy matki...

Ostro zadzwonił telefon. Charity obudziła się gwałtownie. Serce jej waliło. Telefony o świcie zwykle oznaczały złe wiadomości. Czyżby chodziło o Tima? Półprzytomna usiłowała jak najszybciej wygrzebać się z pościeli. Zauważyła srebrzyste promienie, które wpadały do pokoju, i przypomniała sobie, że jest w Southern Cross.

Zanim wstała z łóżka, usłyszała ostry stukot wysokich butów w holu. Reid odebrał telefon. Nie usłyszała ani słowa z rozmowy. Reid szybko rozłączył się i odszedł w po-

śpiechu. Leżała, słysząc oddalające się kroki. Czuła narastający niepokój.

Potem we frontowej części domu rozległy się męskie głosy. Domyśliła się, że Reid i Kane rozmawiają na temat telefonu. Pomyślała, że pewnie powinna wstać i przygotować śniadanie, jednak Kane uprzedził ją, że zwykle jadają po szóstej, a dopiero minęła piąta. Uznała więc, że jeszcze zostanie w łóżku.

Nawet o tak wczesnej porze był już niemal upał. Leżała zawinięta tylko w prześcieradło i rozglądała się po słabo oświetlonym pokoju. Na stoliku stała miedziana ramka ze zdjęciem roześmianej, niebieskookiej blondynki trzymającej w uścisku collie. Dziewczyna była bardzo podobna do Kane'a, Charity więc uznała, że to musi być Annie. Dlaczego wyjechała do miasta? Na spotkanie z ukochanym? Cóż, nie było w tym nic dziwnego, że młoda kobieta chciała się stąd wyrwać. Wyglądała na osobę towarzyską i otwartą na ludzi, życie w buszu musiało jej więc doskwierać.

Tuż za oknem rozległ się głośny śpiew ptaka. Charity usiadła i odsunęła zasłonę. Na poręczy werandy siedział kos. Czarne upierzenie ozdabiał śnieżnobiały ogon i oczy w złotym odcieniu. Odwrócił głowę i znów odezwał się głośnie, jakby witał się z całym światem. Potem usłyszała kroki. Trzasnęły tylne drzwi. Zawarczał silnik. Przez okno zobaczyła ciężarówkę, która wyjechała z za budynku i ruszyła w drogę. Nie zdołała dostrzec kierowcy. Nie wiedziała, czy był to Reid, czy Kane. Ale czy to ważne? - pomyślała.

Oczywiście, że ważne. Bowiem jeśli to Kane opuścił ranczo, zyskiwała okazję, by porozmawiać z jego miłym

bratem o Timie. Miała nadzieję, że Reid ujawni jej prawdę. W odróżnieniu od Kanea był dżentelmenem.

Przekręciła się na bok i zamknęła oczy. Nie warto było znów zasypiać, ale przynajmniej próbowała odpoczywać jeszcze przez chwilę... i nie rozmyślać o Kanie. Oczywiście nie zakochała się w nim. Nie należała do tych kobiet, które w pięć minut potrafią stracić serce. Na pewno nie należała też do tych, które przyciągają seksowne spojrzenia i stalowe mięśnie. Mogła pokochać tylko wspaniałego mężczyznę. Przede wszystkim powinien być szczerzy i godny zaufania. To raz na zawsze przekreślało Kanea McKinnona.

- Tylko nie mów, że na śniadanie przygotowujesz jajka na bekonie.

- Ach, to ty. - Charity odwróciła się ze skorupką w rękę.

- A kogo się spodziewałaś? - zdziwił się Kane.

- Słyszałam, że ktoś wyjeżdżał. Byłam przekonana, że to ty.

- To był Reid. Zadzwoił Mick Rogers, który zarządza naszym majątkiem koło Hughenden. Tej nocy jego żona urodziła dziecko - wyjaśnił Kane niezbyt zachwyconym tonem.

- Wszystko w porządku?

- Mam nadzieję, ale dziecko jest wcześniakiem, więc dziewczynka i matka zostały zabrane samolotem do Townsville. Mick chce być z nimi.

- To zrozumiałe.

- W tej sytuacji Reid będzie zarządzał Lacey Downs.

- Już tam pojechał? - spytała zaniepokojona.

- Tak. Kilka tygodni temu przewieźliśmy tam stado cieląt. Będzie ich dogładał.

- Jak długo to potrwa?

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Trudno powiedzieć. Wszystko zależy od zdrowia dziecka.

- Szkoda, że Reid wyjechał - powiedziała. - Nie miałam okazji z nim porozmawiać.

Kane rzucił jej czujne spojrzenie.

- O czym?

- Oczywiście o Timie.

Pokręcił głową.

- Miałby ci do powiedzenia nie więcej niż ja.

Czyli nic, pomyślała, lecz zachowała to dla siebie.

- Reid wyjechał bez śniadania - stwierdziła.

Kane uśmiechnął się lekko.

- Jakoś to przeżyje. Zajrzy do kawiarni w Charters Towers i coś tam przekąsi. - Zerknął nad jej ramieniem na patelnię. - Jakoś udało ci się przygotować niewegetariańskie śniadanie.

Żartobliwie przewróciła oczami.

- Zmusiłam się do nadludzkiego wysiłku.

- Możesz mi wierzyć, że jestem ci bardzo wdzięczny. - Nappełnił sobie talerz bekonem i sadzonymi jajami, potem usiadł przy kuchennym stole.

- Jakie masz plany na dziś? - spytała.

- Reid prosił mnie, żebym sprawdził, którądy ucieka bydło. Musi gdzieś być dziura w ogrodzeniu.

- Zajmie ci to cały dzień? - spytała niezadowolonym tonem. Miała nadzieję, że Kane nie zwrócił na to uwagi.

- To może tyle potrwać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żeby pobyć trochę sama. Oczywiście będzie tu stary Vik. Kie zabieram Roo, a Lavender nie ruszy się z kuchennych schodów. Będziesz więc miała dwa psy do ochrony.

- Och, nie przejmuj się mną, nie będzie żadnego problemu - zapewniła, choć wcale nie była tego taka pewna. Miała zostać sama na pustkowiu, mogąc liczyć tylko na starca i dwa psy. Gdy z dzbanka nalewała herbatę do kubków, czuła, że drżą jej ręce.

Kane natychmiast to zauważył.

- Chaz, poradzisz sobie, prawda?

- Oczywiście.

Pomyślała, że nieobecność Reida i Kanea może wykorzystać do swoich celów. Jeśli Vik będzie w pobliżu, zapyta go o Tima.

- Jeśli potrzebna byłaby jakakolwiek pomoc, wykręć trzy zera - mówił Kane. - Natychmiast połączysz się ze służbami ratowniczymi.

- Jestem pewna, że nic się nie stanie.

- Pewnie masz rację, ale lepiej być przygotowanym na wszystko. - Wskazał jej pusty talerz. - Nic nie jesz.

- Przygotuję ci lunch, żebyś mógł wziąć go ze sobą. Masz na coś ochotę? Wystarczą kanapki?

- Nie ma pośpiechu. Zjedz coś, bo w końcu się przerwócisz.

Sięgnęła do tosteru po gorącą grzankę i posmarowała ją dżemem. Przez chwilę jedli w milczeniu.

- W każdym razie, gdy mnie nie ma, nie rozmawiaj z obcymi - powiedział po chwili Kane.

- Na litość boską, chcesz mnie przestraszyć?

- Oczywiście, że nie. - Spojrzał na nią z powagą.

Co za ironia losu, pomyślała. Najpierw bała się samotności, a teraz lękała się, że ktoś może się zjawić.

- Kogo obcego mogłabym tu spotkać? Nie ma przecież nikogo w promieniu wielu kilometrów - mówiła z paniką w głosie.

- Większość ludzi telefonuje i uprzedza nas, że wybiera się z wizytą. Jeśli więc pojawi się ktoś nieproszony, niech Vik się tym zajmie.

- W porządku - powiedziała bez przekonania.

- Po prostu bądź rozsądna.

- Nie martw się. - Zdobyła się na mający świadczyć o pewności siebie uśmiech. - Jestem rozsądna. Wymagano tego ode mnie przez całe życie, więc już nabrałam praktyki.

- Rozsądna nauczycielka z niedzielnej szkółki.

- Właśnie.

Spodziewała się kolejnej złośliwości, ale tylko spojrzał na nią, jakby zamierzał zadać jeszcze jakieś pytanie. Jednak się rozmyślił.

- Czas już na mnie - powiedział, wstając.

- Wpadnij tu przed odjazdem po kanapki i termos z herbatą.

Uśmiechnął się.

- Dzięki. Powiem Vikowi, jaka jest sytuacja, i za kwadrans przyjdę po lunch.

Gdy Kane wskoczył na motocykl i zniknął w buszu w tumanie kurzu, Charity na chwilę wpadła w popłoch.

Była zupełnie sama. Pospiesznie podeszła do tylnych drzwi.

Lavender wiernie czekała na jednym ze schodków. Charity usiadła obok i objęła ją.

- Biedactwo, wiem, jak się czujesz. Obie zostałyśmy porzucone, prawda? - mówiła, drapiąc ją za uszami. - Nasz pies, Barnabus, uwielbia takie drapanie. Polubiłabyś go. Jest niezwykle przystojny.

Lavender oparła mokry nos o policzek Charity, wydając z siebie pełne zadowolenia psie westchnienie.

- Wiesz, że mamy podobne problemy? Ty czekasz na powrót Annie, a ja czekam na wiadomości od Tima.

Podbiegł do nich Roo, machając ogonem i spoglądając badawczo.

- Uważasz, że zostałeś pominięty? - Charity objęła także jego. W odpowiedzi polizał ją po policzku. Jednak mimo psiego towarzystwa zaczęła tęsknić za rodzinnym domem i przeraźliwie ciążyła jej samotność.

Musiała pokonać to uczucie. Była bezpieczna w towarzystwie ogrodnika i dwóch psów. Był też telefon, gdyby potrzebowała pomocy z zewnątrz. Oprócz tego Kane wyjechał tylko na jeden dzień. To oznaczało, że mogła przepisać ogrodnika.

- Tim? Tak, poznałem go. Miły, młody facet.

Vik uśmiechnął się do Charity, wygodnie siedząc na jednym z plecionych krzeseł stojących na werandzie. Sięgnął po kolejne kruche ciasteczko jej wypieku. Początkowo, gdy zapraszała go na poranną herbatę, zamierzał stanowczo odmówić.

- Nie mam czasu na pogaduszki - stwierdził. Jednak gdy

usłyszał o kruchych ciasteczkach, szybko zmienił zdanie.

- Już od lat nie miałem okazji ich spróbować.

- Częstuj się do woli. - Przysunęła talerz bliżej niego. -
Powiedz mi coś więcej o Timie. Był tu szczęśliwy?

- Kochanie, nie mogło mu być lepiej. Czuł się tu świetnie, jak komar na bagnie. Z przyjemnością pracował od świtu do nocy.

- To ciekawe. W domu unikał niektórych zajęć, na przykład zmywania.

Vik się uśmiechnął.

- Życie ranczera jest inne niż zwykłego człowieka. Warunki są prymitywne i dużo ciężkiej roboty, ale jest też czas na zabawę. Nie ma też nic przyjemniejszego niż obozowisko pod gwiazdami.

- Pewnie tak.

Wyobraziła sobie, jaką przygodą musiało to być dla Tima.

- Nie powiedział przypadkiem, dokąd się wybiera, gdy stąd odchodził?

Vik już otworzył usta, jednak zamilkł w ostatniej chwili.

- Proszę, nie rób z tego tajemnicy - niemal błagała. -
Tak się o niego martwię. Może wiesz coś, dzięki czemu mogłabym dotrzeć do prawdy? Przecież to bez sensu, żeby tak nagle wyjechał bez słowa.

- Jesteś całkowicie pewna, że on zaginął? - spytał Vik.
Wzruszyła ramionami.

- Tak. Nie mieliśmy od niego wiadomości już ponad miesiąc.

Vik mruknął coś niezrozumiale i pokiwał głową. Charitty przysunęła bliżej filiżankę i pochyliła się do niego.

- Vik, o co chodzi?

Staruszek najwyraźniej czuł się niezręcznie. Zupełnie jakby walczył z chęcią, żeby wyjawić coś, czego nie chciał lub nie mógł zdradzić.

- Co ci powiedział Kane? - spytał w końcu.

Westchnęła. Gdyby przyznała, że Kane zupełnie ją zbył, staruszek pewnie nie pisnąłby ani słowa.

- Kane mówił, że Tim tu pracował i jeśli znajdę kogoś, z kim się przyjaźnił, pewnie dowiem się, dokąd się wybierał.

Nie była to może cała prawda, ale też nie było to zwykłe kłamstwo.

- Spotkałaś kogoś z jego znajomych?

- Jeszcze nie... Vik, co możesz mi jeszcze powiedzieć? Przyjechałam z bardzo daleka i muszę znaleźć Tima.

- Aż z Anglii - powiedział z westchnieniem, jakby poczuł się zmęczony na samą myśl o takiej podróży.

- Aż z Anglii. I przyrzekłam ojcu, że znajdę Tima.

- Cóż... Mogę ci powiedzieć, że z Timem jest wszystko w porządku.

- Tak... ale coś więcej?

Vik milczał. Sięgnął po kolejne ciasteczko. Czuł się wyraźnie nieswojo.

Cóż, powiedział jej tyle samo co Kane, czyli praktycznie nic. Co miało znaczyć to „wszystko w porządku”? Byli niezwykle tajemniczy, czym doprowadzali ją do białej gorączki.

- Skąd możesz wiedzieć, że z nim wszystko w porządku?

Jednak staruszek tylko pokręcił głową i sztywno uniósł się z miejsca.

- Nie mogę siedzieć zbyt długo, bo sztywnieją mi stawy.
- Vik, a co z Timem? Dlaczego nie możesz mi o nim nic powiedzieć?

- Gdyby Kane chciał, żebyś wiedziała więcej... - Przerwał w pół zdania.

- Masz na myśli, że Kane wszystko wie, tylko nie chce powiedzieć?

Vik był wyraźnie zakłopotany.

- Powinnaś mu zaufać. Cóż, panienko, muszę już iść. Przykro mi, że nie mogę więcej pomóc. Dziękuję za herbatę.

Zdawała sobie sprawę, że spłoszyła go ciągłymi pytaniami. Vik spieszył się tak bardzo, że zostawił na talerzyku niedojedzone ciasteczko. Charity wzruszyła ramionami, patrząc, jak zniknął za rogiem budynku. Jeśli z Timem nie działo się nic złego, dlaczego robili z tego tajemnicę? Dlaczego nikt nie chciał po prostu powiedzieć, o co chodzi? Jeśli rzeczywiście nic złego się nie stało, dlaczego sam nie skontaktował się z rodziną?

Sprzątnęła po śniadaniu i poszła do pomieszczenia, które służyło za pralnię. Wzięła się do pracy, ciągle szukając wytłumaczenia. Czyżby Tim robił coś, co chciał zachować w tajemnicy przed rodziną? Przypomniła sobie o Marshy. Czy zaangażował się w gorący romans? Chyba jednak był na to za młody.

Gdy kończyła rozwieszać pranie na sznurze, upał stał się nie do wytrzymania. Charity dopiero teraz doceniła szeroki kapelusz Annie i bluzę z długimi rękawami. Mimo wszystko lepiała się od potu. Zbierał się za kołnierzem, w pasie i między piersiami. Nie mogła sobie wyobrazić, jak

można przebywać w takim żarze i pyle przez cały dzień bez odrobiny cienia. Tak pracował teraz Kane, tropiąc zagubione bydło i naprawiając ogrodzenie.

Po lunchu zmyła naczynia i sztućce. Słyszała natrętną muchę, która usiłowała przedostać się przez siatkę przeciw owadom, zainstalowaną w drzwiach. Charity nie zwracała na nic uwagi. Patrzyła jak urzeczona na gorące powietrze unoszące się nad ziemią. Powoli przyzwyczajała się do spalonego słońcem krajobrazu. Domyślała się, że po pewnym czasie nauczyłaby się dostrzegać w buszu szczegóły, które teraz były dla niej bez znaczenia. Była tak zamyślona, że dopiero po dłuższej chwili rozpoznała odległy ryk silnika.

Kane wracał na swoim motocyklu. Poczula, że z przejęcia ogarnia ją fala gorąca. Motocykl wpadł na podwórko, wzniesając tumany kurzu. Zatrzymał się w cieniu blaszanej szopy, zakończonej na szczycie wiatrakiem napędzającym pompę wodną. Roo podbiegł, by przywitać się z Kaneem. Ten pieszczotliwie podrapał go za uchem. Potem zrzucił buty i pociągnął za dźwignię. Z rury nad jego głową szerokim strumieniem połała się woda.

Charity nie zamierzała się przyglądać, jednak nie mogła oderwać wzroku. Woda, połyskując na słońcu, natychmiast splukała głowę i koszulę Kane'a. Charity wyobraziła sobie, z jaką ulgą pozbył się brudu i uwolnił od gorąca. Obserwowała go jak urzeczona. Koszula przykleiła mu się do umięśnionego torsu. Odchylił głowę, splukując twarz i włosy.

Wczoraj widziała go bez koszuli, jednak dziś mokre ubranie bardziej pobudzało jej zmysły. Gdy jego dżinsy nasiąkły wodą, przypomniała sobie nagie greckie rzeź-

by w Muzeum Brytyjskim. Roo biegał i skakał wokół nóg swego pana. Kane napełnił kapelusz wodą i podał psu, żeby napił się do woli. W końcu Kane zakręcił wodę i ruszył w kierunku domu, niosąc koszulę, buty i kapelusz. Na werandzie z tyłu domu przerzucił koszulę przez barierkę. Charity przez ten czas nie zdołała oderwać się od okna.

- Hej, Chaz! - zawołał. - Mogę mieć nadzieję na jakiś zimny napój?

Do diabła, pomyślała. Cały czas wiedział, że go podglądała. .. Po chwili wyszła na werandę, niosąc na tacy dzbanek lodowatej wody, szklankę i plasterki cytryny.

- Może być woda czy wolisz piwo? - spytała.

Uśmiechnął się szeroko.

- Woda wystarczy.

Postawiła tacę na najwyższym stopniu tuż obok niego i cofnęła się pospiesznie. Kciukiem ścisnęła palec, który skaleczyła, gdy zbyt szybko kroїła cytrynę.

Kane nie ruszył szklanki. Pił łapczywie prosto z dzbanka. Charity starała się nie porównywać tego hodowcy bydła ze schludnymi, bladymi mężczyznami, z którymi czasem umawiała się na randki. Powtarzała sobie, że Kane McKinnon nie jest człowiekiem, któremu można ufać. Wygląd fizyczny nie był jego zasługą. Odziedziczył go po przodkach. Byłaby bardzo płytką osobą, gdyby przywiązywała wagę do takich cech.

U mężczyzny najważniejsze były szczerść, uczciwość i dobre serce, natomiast mięśnie nie miały żadnego znaczenia. Jednak cóż znaczyła szczerść, gdy teraz czuła, że daje się ponieść zmysłom?

- Przynieść ci ręcznik? - spytała.

- Nie, dziękuję. - Postawił na tacy niemal całkiem pusty dzbanek. - Na tym gorącym wietrze wyschnę natychmiast.

- Gorący dzień.

- To fakt.

Na chwilę zamknął oczy i oparł szerokie plecy o słup werandy. Oddychał głęboko. Jego pierś unosiła się rytmicznie. Charity nie wiedziała, czy powinna zostać, natomiast na pewno nie miała ochoty odejść. Spojrzała na jego czarne rzęsy, zmysłowe usta... Powoli otworzył oczy.

- Chaz, jak minął ci ranek?

- W porządku. - Zastanawiała się gorączkowo, czy oprócz jego gołego torsu miała jeszcze jakiś powód, żeby tu sterczeć.

- A co u ciebie? Udało ci się skończyć pracę?

- Tak. Znalazłem miejsce, gdzie było przerwane ogrodzenie. Naprawa okazała się dość prosta. Nie zajęła mi tyle czasu, ile się spodziewałem.

- Świetnie... - Zastanawiała się przez chwilę, co jeszcze mogłaby powiedzieć. - Zaprosiłam Vika na poranną herbatkę.

- Musiał być zachwycony - powiedział z uśmiechem.

- Bardzo smakowały mu kruche ciasteczka.

- Upiekłaś ciasteczka? - Wyglądał jak chłopiec, który właśnie wrócił ze szkoły. - Zostało coś jeszcze?

- Tak. Masz ochotę?

- Jasne.

Poszła szybko do kuchni i wróciła z pełnym talerzem.

- Wspaniale - przyznał, nie przerywając jedzenia. - Nie stój na baczność jak kamerdyner czekający na polecenia.

Usiądź wygodnie.

Była zbyt nieśmiała, by usiąść obok niego na schodach, więc przynajmniej oparła się biodrem o słup werandy.

- Tak jest mi całkiem dobrze.

Tymczasem on sięgnął po trzecie ciastko.

- Annie nigdy ci nie wybaczy, jeśli nas będziesz rozpieszczać.

- Bardzo bym chciała poznać twoją siostrę. Pomaga przy hodowli czy tylko zajmuje się domem?

- Kiedy była młodsza, przepadała za pracą ze zwierzętami, jednak w ostatnich latach przestało ją to interesować. Mnóstwo czyta. Prenumeruje czasopisma, zapisała się do klubów książki i nie odrywa się od Internetu.

- Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale dlaczego wyjechała?

Kane wzruszył ramionami.

- Nie wiem dokładnie. Wydaje mi się, że ma obsesję miasta. Chce chodzić do kina, robić zakupy, plotkować z koleżankami. Większość jej szkolnych znajomych mieszka teraz w Brisbane.

- Nie chcesz wiedzieć, jaka była prawdziwa przyczyna wyjazdu?

- Niespecjalnie. Nie jest już nastolatką. Może zadzwonię dziś wieczorem, żeby chwilę pogadać. - Sięgnął po kolejne ciastko. - Naprawdę są znakomite. Muszę przyznać, że jesteś świetną kucharką.

Doszła do wniosku, że przynajmniej jedno z nich powinno zdobyć się na brutalną szczerłość.

- Muszę przyznać, że gdy piekłam je dla Vika, miałam w tym ukryty cel. Chciałam porozmawiać z nim o Timie.

Kane zachmurzył się na chwilę. Spojrzał w dal nad wybiegiem dla koni.

- Mówiłem ci, że niepotrzebnie martwisz się o niego.

Westchnęła głęboko.

- To niemożliwe.

Unikając jej wzroku, ściągnął koszulę z poręczy werandy.

- Zabiorę rzeczy do prania.

Znów to samo, pomyślała rozczarowana. Znów unika odpowiedzi. To jasne, że coś ukrywa.

- Kane, gdy ty i Vik mówicie, że z Timem wszystko w porządku, co macie na myśli? Dlaczego nie możesz powiedzieć, skąd wiesz, że nic mu się nie stało?

- Musisz mi teraz zawracać tym głowę? - mruknął.

- Dlaczego nie teraz? Jakoś nie widzę, żebyś był specjalnie zajęty.

- Charity, daj już spokój - powiedział zniecierpliwiony.

- Jak mogę mieć do ciebie zaufanie, jeśli nie mówisz mi prawdy?

- Jeśli nie możesz mi zaufać, to nic na to nie poradzę.

- Czyli odmawiasz rozmowy o Timie?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Wieczorem nadal było upalnie, tylko Kane zachowywał chłodny dystans. Nie przekomarzał się z Charity, przestał silić się na kpiny. Nawet nie wydawał się specjalnie zachwycony, gdy przygotowała wołowinę po burgundzku, choć uprzejmie podziękował. Po posiłku zniknął w gabinecie, żeby zająć się dokumentami.

Charity zadzwoniła do ojca. Gdy usłyszała jego ciepły

głos, niemal się rozpląkała. Starła się przedstawić sytuację w jak najlepszym świetle. Powiedziała, że dobrze się bawi, trafiła na ślad Tima, a ludzie w okolicy uważają, że wszystko z nim w porządku. Trzeba tylko czasu, żeby go odnaleźć. Ojciec na szczęście nie zadawał trudnych pytań.

Później wzięła jakąś powieść z półki w holu, żeby poczytać w łóżku. Jednak zamiast tym, zajęła się rozmyślaniami o Kanie. Niewątpliwie działał jej na zmysły, lecz co z tego, skoro nie mogła mu zaufać.

W końcu zasnęła, ale sny też nie dawały jej spokoju...

- Mamo, już wróciłam! - zawołała, wpadając do kuchni. Szkolną torbę zostawiła na podłodze. Piątkowe popołudnie! Miała przed sobą cały wspaniały weekend. W domu unosił się przyjemny zapach wypieków. Ciasto z jagodami i kruche ciasteczka stygły w pobliżu piekarnika.

- Mamo? - zawołała, nie słysząc odpowiedzi. - Gdzie jesteś?

Ponownie odpowiedziała jej cisza. Przeszła do holu. Matka leżała na środku pokoju z jedną ręką odrzuconą na bok. Miała rozchylone, poblądłe usta.

- Nie! Nie! Mamusiu! Nie!

Szlochając i krzycząc, Charity zebrała siły, by podbiec do telefonu. Potem zastygła w przerażeniu, dopóki załoga karetki nie wkroczyła pospiesznie z noszami w rękach.

- Próbowalaś ją ocucić? - spytał wysoki mężczyzna.

- Nie - zaszłochała. - Nie wiedziałam jak

Dopiero teraz żałowała, że nie uczestniczyła w szkolnym kursie pierwszej pomocy. Mężczyzna pokręcił głową i nie zwracając uwagi na jej szlochy, pomógł koledze wynieść matkę na noszach.

Następnego dnia zobaczyła obcego.

Kane znów wyjechał. Przy śniadaniu powiedział Charity, że nie będzie go przez większą część dnia. Tym razem nie wyjaśnił dlaczego. Była pewna, że specjalnie unikał jej, a raczej niewygodnych pytań. Zajęła się pokojami od frontu. Wycierała kurze i doprowadzała do połysku piękne stare meble, trzepała poduszki, zmieniała wodę w wazonach i przestawiała kwiaty. Wtedy przez okno zobaczyła mężczyznę w czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Szedł przez trawnik, mijając dom z boku.

Pamiętała ostrzeżenie Kanea, na dodatek była rozbita przez nocne koszmary. Na widok obcego poczuła nagły ucisk w żołądku. Wydawało jej się, że włosy na karku stają jej dęba ze strachu. Wiedziała, że sama musi stawić czoło tej sytuacji.

Obcy pojawił się znikąd. Nie miała pojęcia, jak tu przyjechał. W jego sposobie bycia było coś podejrzanego, jakby próbował zakraść się tu niepostrzeżenie. Charity zamarła, starała się oddychać jak najciszej. Zastanawiała się, co powinna zrobić, jeśli intruz wejdzie do domu. Gdzie jest Vik? - pomyślała.

Usłyszała szczeknięcie Lavender, jednak mężczyzna przemówił do niej łagodnymi słowami i nastąpiła cisza. Czy Lavender go znała? Przecież tak szybko się uspokoiła.

Po chwili rozległo się pukanie do tylnych drzwi. Choć Charity spodziewała się tego, jednak niemal wyskoczyła ze skóry. Nie zamierzała reagować na pukanie. Jeśli ten człowiek rzeczywiście chciał z kimś rozmawiać, powinien poszukać Vika.

Stała sparaliżowana strachem, nasłuchując, czy kroki się

nie oddała. Słyszała jedynie znajome odgłosy z zewnątrz: syk zraszacza, podlewającego rośliny, skrzywienie starego wiatraka, który powoli kręcił się wysoko nad wybiegiem. Wtedy usłyszała cichy szcęk zasuwki przy ramie z siatki chroniącej tylne wejście przed owadami. Potem kroki wewnątrz budynku.

Przerażona myślała gorączkowo, gdzie mogłaby się ukryć.

Ściągnęła buty i poczekała, aż intruz przejdzie do kuchni. Wtedy przebiegła w skarpetkach przez hol i wpadła do najbliższego pomieszczenia - pokoju Annie.

Bez namysłu otworzyła szafę wbudowaną w ścianę, wcisnęła się między wieczorowe suknie Annie i zasunęła za sobą drzwi.

Usiłowała nie wpadać w panikę, ale jej oddech brzmiał bardzo donośnie w tak małej przestrzeni. Serce waliło jak młot, gdy słuchała ciężkich kroków, przemieszczających się z pokoju do pokoju. Czasem tłumił je dywan, potem znów brzmiały głośno na drewnianej podłodze.

Cały czas zastanawiała się, kim był ten człowiek. Dlaczego Kane przypuszczał, że coś takiego może się zdarzyć? Czy miało to coś wspólnego ze zniknięciem Tima?

Gdy intruz wszedł do pokoju Annie, Charity zeszywniała, starając się wstrzymać oddech. Tiulowa naszywka na jednej z sukienek łaskotała jej nos. Przestraszyła się, że zaraz kichnie i szybko odwróciła głowę. Dotknęła przy tym wieszaka, który stuknął w drzwi. O Boże, czy on to słyszał? - pomyślała i zaczęła się modlić.

Intruz w nieskończoność oglądał pokój Annie, przerzucał papiery na biurku, otwierał szuflady. Czy w szafie było coś nadającego się do obrony? - myślała nieustannie. Je-

dyne, co przyszło jej do głowy, to buty, które ciągle trzymała w ręku.

Wydawało się, że minęły całe tygodnie, nim nieznajomy przeszedł do następnego pokoju. Całe wieki trwało, nim opuścił dom. Odczekała jeszcze pół godziny, zanim odważyła się wyjść z kryjówki i wyjrzeć przez okno. Zdążyła go jeszcze zobaczyć, gdy po kryjomu opuszczał Southern Cross i zniknął bez śladu, tak jak się pojawił.

Po kolejnych trzydziestu minutach poczuła się na tyle bezpiecznie, by wyjść z domu. Ruszyła do domku ogrodnika.

- Vik! - zawołała, dobijając się do drzwi. - Vik, gdzie jesteś?

Nie było odpowiedzi, więc znów zaczęła wpadać w panikę. Wtedy przybiegł Roo. Szczekał głośno, trzymając sztywno uszy do góry.

- Gdzie byłeś, gdy cię potrzebowałam? - skarciła go. - Pobiegłeś tropić walabie? Miałeś pilnować domu.

Skoczył do jej nóg, odbiegł i odwrócił się, jakby na nią czekał. Znów zaszczekał niecierpliwie.

- Mam za tobą iść? - Wzruszyła ramionami. - O co chodzi?

Pies wyraźnie zmierzał w stronę wiatraka. Charity ruszyła w ślad za nim.

Vik leżał bezwładnie na ziemi, opierając się o jeden ze słupów. Był blady, a jego ręka zginała się pod dziwnym kątem. Charity natychmiast domyśliła się, że była złamana. Koszmar tego dnia się nie skończył. Przez ostatnich dwanaście lat obawiała się, że taka chwila wreszcie nastąpi i będzie zmuszona udzielić pomocy. Bała się tego, choć lekarz

rodzinny zapewniał ją, że nic nie mogła zrobić, by uratować życie matki. Tamtego strasznego piątku atak serca nastąpił długo przedtem, zanim Charity wróciła ze szkoły. Jednak wyrzuty sumienia nie przestały dręczyć jej do dziś.

- Co się stało? - spytała, kucając obok Vika. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak bardzo była przerażona.

- Nie jestem pewien, kochanie. Wspiąłem się na wieżę, że-
by sprawdzić, co blokuje pompę. Coś się obsunęło i spadłem.

Wzdrygnęła się, wyobrażając sobie upadek z takiej wysokości.

- Czy oprócz ręki coś cię boli?

- Mam tylko kilka zadrapań i skaleczeń. Spadając, uderzyłem najpierw ręką. Zdaje się, że jest złamana.

- Obawiam się, że masz rację. - Starła się mówić spokojnie. - Zostań tu, a ja pójdę zadzwonić po pomoc. Pogotowie to zero zero zero, prawda?

- Pogotowie? Nie dzwoń do nich.

- Dlaczego? - W jej głosie znów pojawił się przestach.

- To tylko złamana ręka. Niczyje życie nie jest zagrożone. Nie potrzeba, żeby karetka jechała taki kawał do czegoś tak drobnego jak złamana ręka.

Coś drobnego? - pomyślała. Ten biedak musiał zwijać się z bólu. Wzięła głęboki wdech. Doskonale wiedziała, co powinna zrobić. W ciągu ostatnich dwunastu lat zaliczyła niezliczone kursy pierwszej pomocy, mając nadzieję, że nigdy nie będzie musiała wykorzystać tej wiedzy.

- Pomogę ci ułożyć się wygodniej i usztywnię rękę szyną. Jednak potrzebujesz pomocy medycznej z prawdziwego zdarzenia.

- Tak, powinienem pojechać do Mirrabrook i zgłosić się do lekarza.

- Słusznie. - Spojrzała na Vika. Starał się być dzielny, ale jeden Bóg tylko wiedział, kiedy Kane wróci. - Nie martw się, zawiozę cię do lekarza.

- Wiesz, jak obsługiwać półciężarówkę z napędem na cztery koła?

- Nie - przyznała szczerze. W domu zdarzało jej się przejechać parę kilometrów spokojnymi bocznymi drogami małym samochodem z automatyczną skrzynią. Teraz miała przed sobą podróż po dzikich wertepach w pojeździe z drążkiem zmiany biegów umieszczonym w podłodze. - Jednak dam sobie radę, jeśli mi wszystko wyjaśnisz. - Choć bardzo się bała, musiała uporządkować sytuację. - Teraz pomogę ci przejść w zacienione miejsce. Potem zaparzę ci świeżą herbatę i znajdę coś do usztywnienia ręki.

- Dziękuję, kochanie. Jesteś aniołem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kane niedawno już to przeżywał. Na środku kuchennego stołu duża, biała kartka stała oparta o cukiernicę. Parę dni temu Annie zostawiła tu wiadomość. Teraz Charity. Czyżby też uciekła?

Niecierpliwym ruchem sięgnął po kartkę. Po chwili zgniótł papier i rzucił go ze złością do zlewu.

- Jasna cholera! - wrzasnął na cały dom, podbiegł do telefonu i nerwowo wybrał numer. Krzyknął swoje nazwisko do słuchawki i wreszcie zaczął mówić spokojniej. - Najpewniej moja gosposia jedzie teraz do miasta. Wiezie Vika Mattocksa, który miał wypadek.

- O, witaj, Kane - odezwała się Marion, która pracowała u lekarza w Mirrabrook zarówno jako pielęgniarka, jak i recepcjonistka.

- Czy możesz mnie powiadomić, gdy do was dojadą?

- Vik już tu jest od jakiegoś czasu.

Dzięki Bogu, pomyślał. Charity poradziła sobie na tych wybojach. Zaczął się uspokajać.

-Jak Vik?

- Teraz już w porządku. Doktor Gifford przed chwilą skończył nastawiać mu rękę, ale chcemy, żeby został tu przynajmniej na noc.

- Oczywiście, a co z panną Denham?
- Mówisz o Charity, tej młodej Angielce?
- Tak. Mogłbym z nią porozmawiać?

Chciał powiedzieć Charity, żeby też przenocowała w Mirrabrook. Mogłaby na jego koszt wynająć pokój w pubie. Na pewno nie powinna teraz wracać do domu, bo nie miała szans, by zdążyć przed nocą.

- Zdaje się, że już wyszła - stwierdziła Marion.
- Do diabła, tylko nie to!

Po pierwsze Charity nie miała doświadczenia w jeździe po wyboistych polnych drogach. Oprócz tego po ciemku mogła wpaść na kangura lub zabląkaną sztukę bydła. Na myśl, że mógłby jej zdarzyć się wypadek, oblał go zimny pot.

- Czy mogłabyś sprawdzić? Jeśli jeszcze tam gdzieś jest, powiedz jej, żeby została w mieście.

- Zaczekaj chwilę, zrobię to dla ciebie.
- Dzięki.

Nie przestawał nerwowo stukać palcami, dopóki nie usłyszał głosu Marion.

- Kane, jesteś tam jeszcze?

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech.

- Tak, oczywiście.
- Kane, wygląda na to, że Charity już wyjechała.

Powiedziała Vikowi, że chce wrócić do Southern Cross przed nocą.

Kane zaklął pod nosem.

- Dawno ruszyła w drogę?
- Jakies dziesięć minut temu.
- Vik chyba nie był całkiem przytomny. Powinien ją ostrzec, że nie ma żadnych szans, żeby dojechała przed

nocą! - krzyczał do słuchawki, ale zaraz się zreflektował.

- Przepraszam cię, Marion. Mam nadzieję, że nie uszkodzi-

łem ci bębenków w uszach.

- Jakoś dojdę do siebie.

- Ale zrozum, Charity niedawno przyjechała z Anglii, nigdy nie jeździła po takich wertepach. Jak sobie poradzi nocą?

- Kane, Charity sprawia wrażenie bardzo rozsądnej osoby. Doktor Gifford był zaskoczony, gdy zobaczył, jak umiejętnie opatrzyła Vika. Jestem przekonana, że będzie jechała ostrożnie.

- Ale ona nie ma bladego pojęcia o kierowaniu samochodem w buszu.

Nawet jazda o zmierzchu była niebezpieczna. Długie cienie zniekształcały drogę, a zachodzące słońce oślepiało, niespodziewanie ukazując się zza wysokich roślin. Nagle usłyszał cichy chichot Marion.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał.

- Przepraszam cię, Kane. Właśnie pomyślałam, że przyszła kolej na ciebie.

- Kolej na mnie? - zdumiał się.

- Charity jest wyjątkowo ładną kobietą. Chyba się ze mną zgodzisz?

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Wydaje mi się, że bardzo dużo. - Znów zachichotała.

- Zadzwoń do nas rano. Powinniśmy już wiedzieć, kiedy Vik będzie mógł wrócić do domu.

- Tak, dobrze.

- Kane, przestań się martwić. Dobranoc.

- Dobranoc.

Odłożył słuchawkę i popędził na frontową werandę. Stojąc na najwyższym stopniu, starał się dostrzec w buszu jadący samochód. Nie było to logiczne zachowanie, biorąc pod uwagę, że Charity opuściła Mirrabrook dopiero przed dziesięcioma minutami.

Wyobraził ją sobie, jak jedzie w stronę oślepiającego zachodzącego słońca. Cienie zakrywają korzenie na zapyłonej drodze. W każdej chwili zza krzewów może wyskoczyć kangur. Charity jest zupełnie sama. Co zrobi, jeśli zepsuje się ciężarówka? A jeśli utknie w głębokim piasku lub po ciemku wybierze niewłaściwy zakręt? Wszystko mogło się zdarzyć.

W wyobraźni już widział, jak ranna i nieprzytomna leży obok drogi. Ogarniała go panika, nad którą nie był w stanie zapanować. Jeszcze nigdy tak się nie czuł. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Wiedział natomiast, że nie jest w stanie beczynnie stać i czekać. Reid zabrał jedną ciężarówkę, Charity drugą, pozostał mu więc motocykl.

Charity czuła zmęczenie. Perspektywa samotnej jazdy przez bezdroża tym bardziej nie dodawała jej sił. Wypiła filiżankę kawy i zjadła kilka kanapek, gdy lekarz zajmował się ręką Vika. Kofeina pomogła jej na chwilę, ale teraz męczące wydarzenia dały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Zaczęła mieć wątpliwości, czy uda jej się wrócić.

Podróż do Mirrabrook była naprawdę ciężka. Droga okazała się zupełnie nieprzewidywalna. Sypki piasek zmieniał się nagle w głębokie koleiny, samochód wpadał na sterczące odłamki skał, gdy Charity najmniej się tego spodziewała. Siedząc za kierownicą, absolutnie nie mogła sobie pozwolić na

chwile wytchnienia. Najgorsza była świadomość, że dla nie-
szczęsnego Vika każdy podskok samochodu był jak cios no-
żem w obolałe ramię. Dobrze, że przynajmniej teraz doczekał
się troskliwej opieki.

Jednak powrót był jeszcze trudniejszy, bo zbliżał się
zmerch. Słońce świeciło pod ostrym kątem, czerwone
promienie pojawiały się nagle zza drzew, świecąc prosto
w zmęczone oczy.

Do Southern Cross była jeszcze godzina drogi, a noc
miała zapaść lada chwila. Charity nie mogła oczekiwać, że
nagle ktoś oświetli wyboistą drogę. Nie było też żadnych
drogowskazów. Jedyne kręty trakt pełen pułapek, miejsca-
mi piaszczysty, często przecinający wyschnięte, kamieniste
potoki.

Zastanawiała się, gdzie teraz mógł być Kane. Ciekawe,
czy już wrócił do domu i znalazł jej notatkę? Nie wspo-
mniała w niej o dziwnym intruzie. Nie chciała sprawiać
wrażenia osoby, którą wszystko przeraża. Napisała tylko
tyle, że Vik złamał rękę, więc mu ją usztywniła i zawiozła
go do szpitala. Przekaz liściku był jednoznaczny: „Radzę
sobie, nie musisz się martwić”.

Jednak teraz przypomniała sobie o niepokojącej wizy-
cie. Dziwnym zbiegiem okoliczności wypadek Vika zda-
rzył się właśnie wtedy, gdy intruz się pojawił. Czuła obez-
władniający lęk. Była sama na bocznej drodze. Nadciągała
noc, a gdzieś w buszu czyhał obcy. Podświadomie czuła, że
ma to coś wspólnego ze zniknięciem Tima.

Skoncentruj się na drodze, powtarzała sobie w myślach.
Najgorsza była świadomość, że dom może być pusty. Nie
wiedziała, czy Kane już wrócił.

- Nie myśl o tym teraz - mruknęła do siebie.

Nagle z boku wyskoczył jakiś cień. Z krzykiem podskoczyła na siedzeniu. Zapiszczały hamulce i pojazd gwałtownie się zatrzymał. Duży, szary kangur skoczył w poprzek drogi. Dobry Boże! Niemal wpadła na niego.

Kangur zniknął wśród krzewów po drugiej stronie drogi. Charity siedziała, trzęsąc się ze zdenerwowania. Na dodatek zgasł silnik... Nie, tylko nie to! Gdzie w tym pustkowiu znajdzie mechanika, który by sprawdził, czy z autem wszystko w porządku? Wtedy spostrzegła na drodze zbliżające się pojedyncze światło, dobiegł ją też warkot silnika. Ktoś jechał na motocyklu. Nie wiedziała, czy powinna się z tego cieszyć, czy jeszcze bardziej bać.

Przyjaciół czy wróg? Oby to był Kane...

Z powodu ciemności rozpoznała kierowcę, dopiero gdy zatrzymał się obok. To naprawdę był Kane! Z radości do oczu napłynęły jej łzy. Pchnęła drzwi i niemal wypadła na drogę. Kane zdążył chwycić ją w ramiona.

Gdy ją objął, poczuła ulgę i wdzięczność. Z trudem powstrzymywała łzy szczęścia, zupełnie jakby Kane uratował ją z ogromnego zagrożenia, na przykład wyciągnął z urwiska nad przepaścią.

- Chaz, wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała z zamkniętymi oczami, tuląc się do jego piersi.

- Dzięki Bogu - szepnął.

Pogłaskał ją po głowie. Słyszała bicie jego serca. Miała ochotę przycisnąć policzek do jego cienkiej bawełnianej koszulki. Wyobraziła sobie, jak Kane bierze ją w ramiona i całuje... Nie, nie wolno jej było tak myśleć. Nie mogła

całować się z mężczyzną, któremu nie ufała. Zresztą wcale nie rwał się do pocałunków. Po prostu chciał się upewnić, że z nią wszystko w porządku.

Charity zeszywniała. Rzeczywistość była daleka od marzeń. Kane cofnął ręce. Stali w środku buszu, widząc ostatnie błyski zachodzącego słońca. Komary zaczęły bzyczeć wokół ich głów. Wydawało się, że minęły wieki od chwili, gdy Charity w panice zatrzymała ciężarówkę.

- Niewiele brakowało, żebym wpadła na kangura - powiedziała.

- Trudno je zauważyć o tej porze. - Przesunął jej za ucho kosmyk włosów. - Dzięki, że zajęłaś się Vikiem.

- Udało mi się dojechać do miasta, ale...

- Chaz, zachowałeś się wspaniale - powiedział z uśmiechem. Objął jej twarz i szybko pocałował w czoło.

No i doczekałam się pocałunku, pomyślała smętnie. Braterska pieśczość, nic więcej.

- Wyglądasz na wykończoną - dodał Kane. - Nie przejmuj się, dalej ja poprowadzę.

- Co z motocyklem?

- Wjadę nim na półciężarówkę - stwierdził.

Odwrócił się, podszedł do tylnej części pojazdu i z hałasem opuścił klapę załadunkową. Potem wsiadł na motor, dodał gazu i wjechał na skrzynię samochodu. Gdy mocował motocykl do burty, Charity wgramoliła się do kabiny na miejsce pasażera.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Przez szybę widać było pierwsze gwiazdy. Kane wskoczył za kierownicę i ruszyli w kierunku Southern Cross, podskakując na wybojach.

- Dziękuję, że zacząłeś mnie szukać - odezwała się.

- Drobiazg - mruknął lekceważąco. - Jak to się stało, że Vik złamał rękę? Spadł skądś?

- Tak. Chciał naprawić wiatrak pompy.

W przyćmionym świetle zauważyła, że Kane uniósł brwi ze zdziwienia.

- Wczoraj pompa pracowała doskonale.

Wzięła głęboki wdech.

- Tak... ale dzisiaj zjawił się jakiś obcy i zaczął zaglądać we wszystkie kąty. Kręcił się w nieskończoność.

Kane zaklął i wałnął ręką w kierownicę.

- Przepraszam cię, Charity, ale wyszedłem z siebie. Co się stało? Psy go nie przegoniły?

- Niezbyt zwracały na niego uwagę.

Kane zaniepokoił się nie na żarty.

- To musiał być ktoś, kogo znały już wcześniej. Rozmawiał z tobą?

- Nie. W ogóle mnie nie widział. Schowałam się w szafie Annie.

Uśmiechnęła się do niego, choć nadal trzęsa się na samo wspomnienie.

- Świetnie się zachowałam. - Zamilkł na chwilę, myśląc o czymś intensywnie. - Bardzo mi przykro, że miałaś taki okropny dzień. Cóż, poznałaś życie w buszu od najgorszej strony. Znakomicie sobie poradziłaś.

Od tej chwili jechali w milczeniu. Kane uważnie obserwował drogę, natomiast Charity nie nalegała na dalsze wyjaśnienia. Była strasznie zmęczona. Wystarczała jej kojąca świadomość, że nie musi podróżować sama. Zerknęła na księżyc wyglądający zza chmur, na cienie przydrożnych drzew w świetle reflektorów. Jednak nie czuła się całkiem

spokojna i bezpieczna. Przecież Kane nadal ukrywał przed nią jakieś tajemnice, które dotyczyły Tima.

Przypomniała sobie krótką chwilę, gdy trzymał ją w ramionach. Może jej się wydawało, ale przycisnął ją do siebie, jakby naprawdę zależało mu na niej. Westchnęła. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Wkrótce zażąda od Kane'a wyjaśnień. Musiała dowiedzieć się czegoś więcej o dziwnym gościu i o Timie. Wracając z miasta, obmyśliła plan zdecydowanych działań, które pozwolą jej poznać prawdę. Jednak mogło to poczekać do rana.

- Już wcześniej miałam cię zapytać, co to za wielki czarny ptak budzi mnie każdego ranka - powiedziała następnego dnia przy śniadaniu.

Jestem strasznym tchórzem! - pomyślała jednocześnie. Najwyższy czas przestać owijać w bawełnę i wypytać o wszystko Kane'a. Mam prawo wiedzieć, co tu się naprawdę dzieje.

- To pewnie kurrawong - odpowiedział.

- Kurrawong? Domyślam się, że tak nazwali go Aborygeni.

Skinął głową.

- Kangur, wlabia, kurrawong to nazwy z ich języka.

Znów zapadła cisza. Milczeli do końca posiłku. Co się ze mną dzieje? - myślała gorączkowo. Dlaczego unikam tematu? Może boję się przekonać, że Kane nie jest takim człowiekiem, za jakiego go uważam?

Pospiesznie wstał od stołu i zaniósł talerze do kuchennego zlewu.

- Zaproponowałem Vikowi, żeby został w mieście tro-

chę dłużej. Robi się coraz starszy i powinien kurować się pod fachową opieką. To był poważny wypadek.

Charity przestała wycierać kuchenne blaty i spojrzała na niego.

- Chyba nie masz zamiaru znów wyjechać i zostawić mnie tu samej?

- W żadnym wypadku - stwierdził stanowczo. - Obejrzałem wiatrak. Wygląda na to, że ktoś specjalnie go uszkodził.

- O Boże! Zawiadomiłeś policję? - Poczwała ciarki przechodzące po plecach. Ku jej zaskoczeniu Kane zachował się, jakby nie usłyszał pytania. Westchnął głęboko, spuścił wzrok i stał bez ruchu z rękami opartymi na biodrach. -Kane?

- Zrobiłem błąd, że cię tu przywiozłem - odezwał się w końcu. - Powinnaś pojechać na wybrzeże, tak jak ci radziłem.

Teraz jest odpowiednia chwila na rozmowę, pomyślała Charity. Nie mogła pozwolić, żeby Kane ciągle unikał powiedzenia prawdy. Skrzyżowała ręce na piersi i rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- Jestem bardzo zadowolona, że nie dałam się przekonać do wyjazdu - stwierdziła tak dobitnie, że Kane uniósł głowę i spojrzał na nią badawczo. - Wiem, że zniknięcie Tima ma jakiś związek z tym intruzem. - Wzięła głęboki oddech. - Kane, już czas, żeby wyjaśnić sytuację. Musisz mi powiedzieć, o co tu chodzi, albo...

Stał bez ruchu z niewzruszonym wyrazem twarzy.

-Albo?

Przełknęła ślinę.

- Albo zmuszę cię, żebyś mi powiedział.
- Jak chcesz to zrobić?
- Porozmawiam z wydawcą „Mirrabrook Star”.
- Charity, na litość boską, przestań pleść bzdury.
- Bzdury? Uważasz, że to są bzdury? - Gdy lekceważąco wzruszył ramionami, ostatecznie straciła cierpliwość. - To ty opowiadasz mi bzdury! - Gwałtownie zamachała rękami. - Chaz, z Timem wszystko w porządku. Chaz, możesz mi wierzyć. Chaz, nie zadawaj pytań. Jeśli pojawią się jacyś obcy, wskakuj do szafy, ale nie oczekuj słowa wyjaśnienia. - Fuknęła gniewnie. - Może i jestem naiwną Angielką, może i nie wiem nic o buszu, ale zasługuję na to, żeby traktować mnie jak dorosłą osobę, a nie głupią, małą dziewczynkę. Jeśli nadal będziesz ukrywał przede mną prawdę, zmusisz mnie, bym zrobiła z tego publiczną aferę. Albo odpowiesz na moje pytania, albo zwrócę się do prasy, żeby zadała je w moim imieniu. Może dzięki temu zaczną się w końcu prawdziwe poszukiwania Tima.

Przerwała, bo zabrakło jej oddechu. Kane stał bez ruchu, obserwując jej wybuch. Popatrzyli na siebie wrogo, jednak w końcu Kane wyraźnie złagodniał.

- Nie ma potrzeby, żebyś posuwała się do tak drastycznych sposobów. Udowodnię ci, że twój brat jest zupełnie bezpieczny.

Charity poczuła, że wzrasta jej poziom adrenaliny.

- Mówisz poważnie?

Skinął głową.

- Masz na myśli, że będę mogła zobaczyć Tima i porozmawiać z nim?

-Tak.

Ogarnęła ją fala emocji: zaskoczenie, radość, nadzieja, zmieszanie.

- Dlaczego teraz? Bo zagroziłam, że zrobię z tego publiczną aferę?

-Nie. Po prostu wszystko wymyka się spod kontroli. Doszło do tego, że nie mogę zostawić cię tu samej. Nie mogę też trzymać cię z dala od tych spraw.

Poczuła przyspieszone bicie serca.

- Więc gdzie jest Tim?

- Zawiozę cię do niego. To będzie długa, męcząca jazda przez busz.

- Nie ma sprawy. - Wszystko zniesie, jeśli dzięki temu odnajdzie Tima. - Kiedy ruszamy?

- Dziś. Zaraz. - Kane zerknął na zegarek. - Powinniśmy się pospieszyć.

- Jasne. - Wzięła głęboki oddech, starając się oswoić z nową sytuacją. Pytania odłożyła na później. - Powiedz mi tylko, co mam z sobą wziąć.

- Przede wszystkim musimy wziąć jedzenie i wodę.

- A zestaw pierwszej pomocy?

- Też, ale mamy je w każdym pojeździe. Przygotuję ci spis

rzeczy niezbędnych przy wyjeździe w taką głuszę. - Sięgnął po długopis i kartkę leżące obok telefonu. Potem siadł przy stole, błyskawicznie coś notując. Po chwili spojrzał na Charity. - Zbierz te rzeczy w jednym miejscu, a ja przyniosę plecaki.

- Plecaki? Planujesz pieszą wędrowkę?

Bardzo jej zależało, żeby spotkać się Timem, ale obawiała się, że nie dotrzyma kroku Kane'owi podczas wędrowki przez busz. W każdym razie nie w takim upale.

- Większą część drogi przejeździemy samochodem. Dopiero na końcu czeka nas krótki spacer. - Podał jej spis. - Przypomnij mi, żebym zatankował.

- Jasne.

Kane ruszył do wyjścia, ale na chwilę zatrzymał się w drzwiach.

- Muszę przyznać, że potrafisz wybuchnąć jak wulkan.

Chyba nie widziałeś, jak wygląda prawdziwy wybuch, pomyślała. Szykowała się do złośliwej riposty, lecz zadzwonił telefon.

- Southern Cross, słucham?

- Cześć, Charity. Tu Marsha.

- Witaj. - Pomyślała, że Marsha wybrała najgorszy moment. Nie miała ochoty na plotki z drinkującą przyjaciółką Kane'a. - Jak się masz?

- Bosko i założę się, że ty też. Dzwonię, żeby ci pogratulować

wał błyskawicznego znalezienia pracy w Southern Cross.

- Dzięki - powiedziała bez przekonania.

- Jak ci tam jest?

- Całkiem znośnie.

- Słyszałam, że masz za sobą paskudne przeżycia. Uratowałaś Vika, przywiozłaś go do miasta.

- Biedaczysko dzielnie się spisał. Wiem, że bardzo cierpiał, ale nawet nie jęknął.

- Ktoś mi mówił, że Reid podobno wyjechał do Hughenden - rzuciła Marsha niby od niechcienia.

Kane słusznie ją ostrzegał: tu plotki rozchodzą się z prędkością światła...

- To prawda. Musiał zająć się ranczem w Lacey Downs.

- Ty to masz szczęście! Zostałaś sama z Kaneem!

Charity sapnęła z irytacją.

- Nie wydaje mi się, żeby to było wielkie szczęście.

- Charity, nie próbuj mnie nabierać. Ładna Angielka na odludziu z Kaneem McKinnonem. Byłabyś dla niego łakomym kąskiem.

- Masz bujną wyobraźnię. Kane nie jest zainteresowany w najmniejszym stopniu.

- Jasne. - Marsha prychnęła z niedowierzaniem. - Nie próbował cię podrywać?

Charity uznała, że odpowiedź na to pytanie byłaby poniżej jej godności.

- Jeśli jeszcze nie zaczął, to wkrótce spróbuje - zapewniła Marsha. - Nie wmówisz mi, że sama o tym nie myślałaś.

Charity westchnęła z rezygnacją.

- Marsha, czy dzwonisz tylko w tej sprawie?

- Nie zmieniaj tematu. Widziałaś jego klatę i te wspinałki mięśnie?

- Cóż, wydaje mi się, że jest dobrze zbudowany, ale...

- Żadne „ale”. Założę się, że chciałabyś sprawdzić je dokładniej.

Do diabła! Co miała odpowiedzieć? Kobięca duma nie pozwoliła jej przyznać, że w tej dziedzinie Kane ustalił sztywne zasady.

- Marsha, możesz mi wierzyć, że nie masz się czym przejmować.

- Jasne.

Wyobraziła sobie, jak w tym momencie Marsha przewraca oczami. Nie miało sensu tłumaczenie kobiecie takiej jak ona, że Charity nie ma zwyczaju wskakiwać mężczyźniom do łóżka tylko dlatego, że zrobił na niej wrażenie.

- Marsha, naprawdę nie musisz się martwić. Nie zamierzam ci odbić twojego wspaniałego faceta. - Usłyszała zbliżające się kroki Kanea. - Wybacz, jestem zajęta i muszę już kończyć. Ale Kane tu jest. Może chcesz z nim porozmawiać?

- Nie, nie będę mu zawracała głowy. Przekaż mu pozdrowienia. - Szybko się rozłączyła.

- Kto dzwonił? - spytał Kane, wchodząc do kuchni.

- Marsha.

- Czego chciała?

- Chciała wiedzieć, czy przypadkiem nie jestem zajęta twoimi mięśniami.

Podskoczył, jakby poraził go prąd. Tym razem nie spojrział na nią ze złośliwym rozbawieniem. W jego wzroku pojawiło się przerażenie.

- Kane, nie przejmuj się. Zapewniłam ją, że łączy nas wyłącznie umowa biznesowa.

- Nie powinnaś plotkować z Marsha - stwierdził ponuro. - Ważniejszy jest spis, który ci dałem. Mam nadzieję, że wszystko przygotowałaś.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tym razem, gdy ruszyli przez busz, w ogóle nie było widać drogi. Przynajmniej Charity nie dostrzegła żadnych śladów. Kierownica wyrywała się z rąk Kanea, gdy pikap miażdżył rośliny lub podskakiwał na granitowych skałach wśród drzew kauczukowych. Charity czuła się niezbyt pewnie, choć zarazem podziwiała Kane'a, który doskonale orientował się w terenie i perfekcyjnie pokonywał przeszkody.

Zastanawiała się, ile trzeba czasu, by poznać tak dziką okolicę i nauczyć się w niej żyć. Całego życia? Cieszyła się, że już zaczęła zauważać szczegóły, które dotychczas umykały jej uwadze.

Charity miała artystyczną duszę, choć nigdy nie wystarczyło jej czasu, by się przekonać, czy wynika to z prawdziwego talentu. W każdym razie pasjonowała się sztuką i lubiła patrzeć na świat okiem artysty. Z zainteresowaniem zauważyła, że drzewa kauczukowe bardzo różniły się od siebie. Niektóre miały wysmukłe różowe pnie, inne szorstkie i czerwonobrazowe lub ciemnoszare. Liście też nie były jednakowe. Jedne okrągłe i srebrzyste, inne cienkie, spiczaste i pomarszczone, z różowymi zakończeniami lub szarzielone.

Wzdłuż strumieni wyrastały potężne drzewa kauczukowe z majestatycznymi srebrnobiałymi pniami i koronami z delikatnych koronkowych liści. Nawet ziemia zmieniała kolor. Podłoże, po którym jechali, rzadko było jednolicie brązowe. Zmieniało się od piaszczystej bieli, przez szarości i żółcienie, do różu i głębokiej, nasyconej czerwieni.

Po około dwudziestu minutach wspięli się na wzniesienie. Przed nimi rozciągał się płaski, otwarty teren. Czerwoną ziemię ograniczało na horyzoncie niebieskozielone pasmo gór, których końca Charity nie była w stanie dostrzec.

- Jedziemy do tamtych wzgórz - powiedział Kane. - To Seaview Range, część łańcucha, który oddziela wnętrze lądu od nizinnego wybrzeża.

- Tim jest w tamtych górach? - spytała z takim przejęciem, jakby wyobrażała sobie, że zobaczy go jeszcze dziś.

- Cierpliwości, Chaz - powiedział po chwili. - Powiem ci wszystko w odpowiednim momencie.

Cierpliwości? - pomyślała ze złością.

- Dlaczego nie powiesz mi już teraz?

- Może to zbędna ostrożność, ale nadal uważam, że im mniej wiesz, tym lepiej.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- To ma mnie uspokoić?

- Proszę, zaufaj mi.

Westchnęła ostentacyjnie.

- Gdyby to był film, przystawiłabym ci rewolwer do głowy i wyśpiewałbyś wszystko.

Roześmiał się głośno.

- Teraz mówisz jak moja siostra. Annie wyobraża so-

bie, że jej życie jest wspanialsze i bardziej romantyczne niż w rzeczywistości.

- Cóż, trudno jej się dziwić, jeśli całe jej towarzystwo to tylko ty i Reid. - Nie zamierzała go urazić tą uwagą, ale spostrzegła, że uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. - Chodzi mi o to - zaczęła pośpiesznie - że musi jej być ciężko bez towarzystwa kobiet. Musi jej brakować bab-skich pogaduszek.

- Ciągłe plotkuje z dziewczynami przez Internet. Jednak wiem, co masz na myśli. Annie brakuje naszej mamy - do-kończył cicho.

- Tak, przyznaję, zastanawiałam się, co się dzieje z wa-szymi rodzicami.

- Ojciec zmarł sześć lat temu. Mama bez niego wytrzy-mała w Southern Cross jeszcze przez rok, lecz wciąż była w depresji. Dlatego za naszą namową pojechała do Szkocji, żeby odwiedzić siostrę.

- Spodobała jej się Szkocja?

- Bardzo. Wyjechała tylko na kilka tygodni, potem zro-biło się z tego kilka miesięcy. Czuje się tam tak dobrze, że w końcu postanowiła tam zamieszkać.

- Nic dziwnego, że Annie tak za nią tęskni. Szkocja jest daleko...

- Annie i mama często kontaktują się z sobą. Na rozmo-wy telefoniczne wydają krocie.

Pomyślała o swojej mamie. Zmarła, gdy Charity mia-ła czternaście lat. Dziewczynki w tym wieku najbardziej potrzebują matki. Ani ojciec, ani Tim nie mogli jej zastą-pić. Oddałabym wszystko, żeby móc choć raz porozma-wiać z mamą przez telefon, pomyślała.

- Wczoraj mówiłeś, że zadzwonisz do Annie. Co u niej słyhać?

Skrzywił się.

- Miałem pecha. Nikogo nie zastałem. Pewnie z koleżankami wybrała się do miasta.

- Czyli w ogóle nie skontaktowałeś się z nią od dnia jej wyjazdu?

-Nie...

Spojrzała na niego. Tym razem nie traktował tej sprawy tak bez troski jak poprzednio.

- Reid też się do niej nie dodzwonił - dodał. - Ale zamierza dzisiaj dzwonić do skutku.

Przyjęła to z ulgą, jednak powstrzymała się od komentarza. Kane na pewno nie byłby zachwycony, gdyby zaczęła wtrącać się w jego rodzinne sprawy.

- Powiedz mi coś więcej o Reidzie - poprosiła. - Zdaje się, że jesteście w podobnym wieku.

- Jesteśmy bliźniakami.

Spojrzała zaskoczona.

- Nie jesteście podobni.

- To prawda. - Uśmiechnął się. - Większość ludzi jest przekonana, że Reid jest starszy. Urodził się tylko chwilę wcześniej, ale rolę starszego brata potraktował bardzo poważnie. Zaczął mną rządzić, gdy mieliśmy po pół roku.

- Bzdury. Nie wierzę ci. Ma zbyt subtelne maniery. Kane wznosił oczy do nieba.

- Możliwe, ale chyba tylko w stosunku do kobiet. Wystarczyło jedno wspomnienie o kobietach, by Charity przypomniała sobie jego reakcję na telefon Marshy.

- Mam nadzieję, że pójdziesz w ślady brata. - Nie zdążyła ugryźć się w język. Po co te uszczypliwości?

Na szczęście Kane był zajęty czymś innym. Właśnie zjeżdżali po kamienistym brzegu. Tym razem nie było to wyschnięte koryto, ale wartko płynący strumień. Kane zatrzymał pojazd, włączył napęd na cztery koła i ostrożnie ruszył. Woda była głęboka. Chwilami sięgała niebezpiecznie blisko krawędzi drzew, pieniając się i rozpryskując. Ciężkie koła niepewnie posuwały się po śliskich kamieniach.

Charity wstrzymała oddech, przerażona hałasem dobiegającym spod podwozia. Wydawało się, że za chwilę koła ugrzęzną w drobnym żwirze i zakopią się po osie, a zalany wodą samochód zostanie w strumieniu na zawsze.

Jednak Kane dodał gazu i wyjechali z wody, wspinając się na urwisty brzeg. Przed nimi znów rozciągała się szeroka równina. Pikap ostro ruszył do przodu. Kane odwrócił się do Charity z szerokim uśmiechem.

- Mogliśmy ominąć ten potok, ale chciałem ci zapewnić trochę rozrywki. Wydawało mi się, że jazda zaczynała cię trochę nudzić.

- To bardzo miło, że o mnie pomyślałeś.

- Teraz już możesz dokończyć to, co zaczęłaś mówić, nim wjechaliśmy do strumienia.

Zaczerwieniła się.

- Nieważne. Już zapomniałam.

- Wspominałaś coś o moim zachowaniu wobec kobiet.

- To było głupie. Daj już spokój.

- Cóż, przynajmniej wobec ciebie zachowuję się jak prawdziwy dżentelmen.

Zerknęła w jego stronę, on zrobił to samo. W jego spój-

rzeniu nie było rozbawienia. Zauważyła coś delikatnego, nieokreślonego, co spowodowało, że chętnie oparłaby głowę na jego ramieniu, przytuliła się i zaczęła całować.

Zamrugła gwałtownie, by wrócić do rzeczywistości. Kane patrzył przed siebie, obserwując drogę. Czy tylko wyobraziłam sobie to spojrzenie? - pomyślała.

- Oczywiście, zachowujesz się jak dżentelmen - wróciła do tematu. - Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej. Przecież zawarliśmy umowę. - Do diabła, co ona wygaduje! Oby tylko się nie domyślił, że wyobrażała go sobie w sytuacjach zupełnie nieobjętych umową.

Nagle silnik zaczął przerywać. Na desce rozdzielczej zaczęły błyskać czerwone światelka. Kane zaklął i ostro zahamował. Silnik zakrzuszył się, coś zazgrzytało i nastąpiła cisza.

Kane znów zaklął soczyście.

- Co się stało? - spytała.

- Ciśnienie oleju spadło do zera - odpowiedział. -

A wskaźnik temperatury świeci się na czerwono.

Był tak bardzo zmartwiony, że zaczęła się niepokoić.

- Dasz radę to naprawić?

Bez słowa wyskoczył z samochodu i uniósł maskę. Charity usłyszała kolejne przekleństwo. Poczula charakterystyczny zapach spalonego smaru i rozgrzanego metalu.

Szybko wygramoliła się z fotela i stanęła, obok Kane'a. Stygnący silnik wydawał z siebie trzaski. Charity cofnęła się przed falą gorącego powietrza.

- Silnik jest zatarty - stwierdził Kane. - Zupełnie tego nie rozumiem.

- Przegrzał się?

- Tak, bo wyciekł nam cały olej. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Zaraz sprawdzę od spodu.

Był wyraźnie zakłopotany, co jeszcze bardziej ją zaniepokoiło. Doskonale dawał sobie radę w buszu i podobnie jak Reid był doświadczonym mechanikiem. Vik mówił jej, że wszystkie samochody w Southern Cross utrzymywali w świetnym stanie.

Chwilę później Kane wyczołgał się spod ciężarówki. Strząsnął czerwony pył z ubrania i włosów.

- Zawór miski olejowej - stwierdził. - Zniknął, a z nim cały olej.

- Na pewno masz zapas oleju?

- Tak, ale jest już za późno. Jakimś cudem zawór się odkręcił, olej wyciekł i silnik się przegrzał.

- Uda ci się go uruchomić?

- Nie. - Otarł twarz zakurzonym rękawem. - Silnik jest kompletnie zatarty. Nie nadaje się do niczego. Trzeba będzie holować tę cholerną ciężarówkę do Southern Cross i zrobić remont silnika. - Ze złością kopnął oponę. - Jeszcze nie słyszałem, żeby taki zawór sam się odkręcił, nawet na najgorszej drodze.

- Ostatni przejazd przez strumień był dość ciężki.

- Mógł spowodować najwyżej lekki luz. Mielibyśmy niewielki wyciek. Wskaźnik ciśnienia oleju zaraz by mi to pokazał. Wtedy dokręciłbym zawór i dolał oleju. Jednak nic takiego się nie stało. Jak do...? - Przerwał, zaciskając pięści ze złości.

- Chyba nie myślisz, że...?

Spojrzał na nią ostro.

- Że ktoś to zrobił umyślnie?

- Pomyślałam o wiatraku.

- Tak. Mnie też to przyszło do głowy. Obawiam się, że możesz mieć rację. Ktoś odkręcił zakrętkę niemal do końca. Musiała odpaść.

Z wielką uwagą zlustrował okolicę. Charity poczuła, że włosy jeżą się jej na karku.

- Czego szukasz?

Kane zerknął na nią z ponurą miną.

- Jeśli ktoś specjalnie nas załatwił, może za nami jechać.

- Śledzi nas?

Była przerażona. Kane podszedł i objął ją za ramiona.

- Chaz, nie martw się. Poradzimy sobie - powiedział pocieszającym tonem.

Gdy cofnął rękę, pomyślała, że taki uścisk mógłby trwać znacznie dłużej.

- Możemy kogoś zawiadomić? Masz radio albo telefon? Skrzywił się.

- Nie. Sieć komórkowa nie ma tu zasięgu, a telefon satelitarny dałem Reidowi, bo w Lacey będzie zupełnie sam.

Ani samochodu, ani łączności, pomyślała. Starła się myśleć jasno i spokojnie. Bez skutku.

- Co teraz zrobimy? Utknęliśmy tu na dobre.

- Możemy iść do kryjówki Tima.

Przełknęła ślinę, odwróciła się, by spojrzeć na odległe góry. Były naprawdę daleko. Jeśli na dodatek ktoś cały czas ich śledził...

- Będziemy bezpieczni, idąc pieszo?

- Wyruszymy w przebraniu - zażartował. Klepnął ją w plecy i pocałował w czubek głowy. - Damy sobie radę - zapewnił delikatnym tonem i uśmiechnął się ciepło.

Skinęła głową. Jeśli Kane będzie się tak uśmiechał, pomyślała, mogę przejść z nim Australię wzdłuż i wszerz.

- Bardzo cię przepraszam za to wszystko - powiedział.

- Nigdy sobie nie daruję, że cię w to wciągnąłem. Nie powinienem zabierać cię do Southern Cross, a przede wszystkim nie powinienem ciągnąć cię tutaj.

Zdobyła się na lekki uśmiech.

- Nie zapominaj, że sama cię do tego zmusiłam.

Nie odzywał się przez chwilę.

- Chaz, jesteś dobrym kumplem. - Podeszedł do samochodu i uniósł plandekę, a potem zaczął wyciągać rzeczy i stawiać je na ziemi. - Potrzebujemy kapeluszy, wody, trochę jedzenia. Kurtki przydadzą się, gdy zajdzie słońce. To też powinienem wziąć. - Przerzucił sobie przez ramię czarną strzelbę.

Charity na ten widok znów wpadła w popłoch.

- Kane, chyba nie myślisz, że trzeba będzie tego użyć?

- Biorę ją tylko na wszelki wypadek. - Podał jej szeroki kapelusz Annie, a do plecaka zaczął pakować butelki z wodą i zapas jedzenia.

Szli dnem wyschniętego strumienia. Drzewa rosnące wzdłuż brzegu rzucały cień. Dzięki temu byli mniej widoczni dla ewentualnych obserwatorów, a jednocześnie osłonięci przed piekącym słońcem.

Kane zdawał sobie sprawę, że Charity bardzo zaniepokoiła się tym, że wziął z sobą strzelbę. Pomyślał, że najlepszym lekarstwem będzie swobodna rozmowa.

- O ile pamiętam, mówiłaś, że zajmowałaś się Timem od czasu, gdy miał siedem lat.

- Tak. Od śmierci mamy. Staralam się przejąć jej rolę. Opiekowałam się Timem i ojcem.

- To musiało być poważne wyzwanie. Przecież jeszcze chodziłaś do szkoły.

Machnęła ręką na natrętą muchę i wzruszyła ramionami.

- Nie było łatwo pogodzić naukę z prowadzeniem domu. Bardzo brakowało mi matki i myślę, że ciężka praca to był mój sposób na poradzenie sobie z sytuacją.

- Czyli, podobnie jak Annie, prowadziłaś dom zdominowany przez mężczyzn.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo jej współczuję.

Mimo że trzymali się zacienionych miejsc, upał dawał się we znaki. Kane uważnie rozglądał się po okolicy, wypatrząc jakichkolwiek oznak, że ktoś ich śledzi. Żeby nie niepokoić Charity, prowadził obserwację najdyskretniej, jak było to możliwe.

Po chwili Charity przerwała milczenie.

- Zawsze uważałam, że jestem taka jak moja matka. Może dlatego, że wyglądam jak ona.

- Taka uroda to prawdziwy dar losu. - Kane zaraz zaczął żałować, że powiedział to, co myślał. Na szczęście Charity zachowała się, jakby nie usłyszała komplementu. Możliwe, że nie zwróciła na niego uwagi, bo skupiła się na wspomnieniach.

- We wszystkim próbowałam być taka ja ona. To dawało złudzenie, że jestem przedłużeniem jej życia. - Zerknęła nieśmiało na Kane'a. - Chyba powiedziałam więcej, niż chciałaś wiedzieć.

Nie miała pojęcia, jak wiele chciał o niej wiedzieć. W głowie roilo mu się od pytań. Jaka jest jej ulubiona wegetariańska potrawa? Jakich perfum używa? Jak wygląda Hollydean? Czy zasypia natychmiast? Co jej się śni? Jak ma na drugie imię?

Chrząknął, przerywając chwilę ciszy.

- Dobiegałem już trzydziestki, gdy zmarł mój tata. Było nam bardzo ciężko.

- Musiałeś przejąć jego obowiązki i prowadzić ranczo?

- Tak, ale nic nie wyglądało tak samo bez ojca, jego uwag, pochwał i dobrodusznego klepnięcia w plecy.

W krzakach obok nich rozległ się trzask. Charity podskoczyła z przerażenia.

- To tylko kangur - uspokoił ją Kane. - Pewnie obudziliśmy go z południowej drzemki. - Wskazał zwierzę, które przemykało między zaroślami. Po chwili milczenia Kane wrócił do wspomnień: - Śmierć ojca była wielkim wstrząsem dla Reida. Przeżywał to nawet bardziej niż Annie i ja. Był bliski załamania. Jednak po wyjeździe mamy mieliśmy tyle pracy, że nie było czasu, by siedzieć i rozpaczać. To go uzdrowiło. Przyznam, że ciężka praca pomaga.

- To prawda.

Spojrzeli na siebie. Kane poczuł ucisk w gardle. Jej zielone oczy działały na niego jak magnes.

Wczesnym popołudniem dotarli do gładkiej granitowej półki w cieniu ogromnego drzewa. Kane zdawał sobie sprawę, że w tym upale Charity może szybko opaść z sił, zarządził więc przerwę na lunch. Wyciągnęli z plecaka kanapki i pomarańcze. Powietrze było gorące i nieruchome.

Charity zjadła połowę swojej porcji. Wstała i wspięła

się na brzeg wyschniętego strumienia. Spojrzała w stronę gór nad doliną. Gdy wróciła, na jej twarzy malowało się napięcie.

- Jesteś już gotowa do drogi? - spytał Kane.

- Nie - odpowiedziała stanowczo.

Musiał przyznać, że Charity potrafiła go zaskoczyć.

- Co się stało? Źle się czujesz?

- Całkiem dobrze, ale nie ruszę się stąd, dopóki nie powiesz mi, gdzie jest Tim i co się z nim dzieje.

-Ale...

- Kane, żadnego „ale”. - Zmarszczyła brwi. - I nie chcę, żebyś odwracał moją uwagę uprzejmą rozmową. - Ruchem głowy wskazała wzgórza.

- O co chodzi?

- Nie mogę znieść ciągłego napięcia. Zbliżyliśmy się do celu. Zamiast ulgi czuję coraz większe zdenerwowanie. Musisz mi powiedzieć, o co chodzi, bo ja...

Nagle łzy napłynęły jej do oczu. Zakryła twarz dłońmi. Kane poczuł się podle. Dotknął dłonią jej ramienia. Potrząsnęła głową. Zagryzła wargi, by powstrzymać się od szlochów.

- Masz rację - powiedział. - Już czas, żebyś poznała prawdę.

Pospiesznie wytarła twarz wierzchem dłoni i głośno pociągnęła nosem.

- Przepraszam. To nie były żadne kobiece gierki. Po prostu nie wytrzymałam.

Uśmiechnął się lekko.

- Gierki czy nie, to zawsze skutkuje. Usiądź, a ja będę mówił.

Usadowili się na granitowej półce.

- Dobrze - odezwała się Charity z napięciem w głosie.

- Mów.

- Cóż... Na pewno domyśliłaś się, że Tim jest w tych górach. Tylko nasza rodzina zna to miejsce, więc jest bezpieczny.

Rzuciła mu przeszywające spojrzenie.

- Bezpieczny? Co mu grozi?

- Kłopoty.

W jej oczach pojawił się lęk.

- Domyślam się, że chcesz poznać całą historię od początku.

- Oczywiście.

Kane westchnął.

- Tim zajmował się bydłem na odległym pastwisku i trafił na duży ładunek narkotyków.

- Narkotyki? Boże, chyba nie uprawiacie niczego takiego w Southern Cross?

- Jasne, że nie. To było na terenie przylegającym do naszych pastwisk. Czasem bydło przedostaje się tam przez uszkodzone ogrodzenie. Wysłałem Tima, żeby się rozejrzył i wytropił brakujące sztuki. Przypadkiem znalazł pokaźny zapas marihuany. Musieliśmy zawiadomić policję. Aresztowano kilka osób.

- Czy Tim ma zeznawać jako świadek?

- Tak. Jednak handlarze narkotyków są bardzo przebiegli, więc policja postanowiła ujawnić takiego świadka w ostatniej chwili, żeby ich zaskoczyć.

- Z tego powodu musi się ukrywać?

- Właśnie.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Nie rozumiem, dlaczego musi się ukrywać aż w górach. Czy to nie przesada?

- W normalnej sytuacji oczywiście tak, jednak sprawa Tima trochę się skomplikowała, bo miejscowi handlarze dowiedzieli się o nim. Policja zaczęła się obawiać, że potężni szefowie gangów, siedząc gdzieś w odległym mieście, wydadzą polecenie, żeby go uciszyć albo nastraszyć.

Cicho krzyknęła.

- Jednego nadal nie rozumiem. Jeśli Tim jest tak ważnym świadkiem, dlaczego policja nie zapewniła mu ochrony?

- Proponowali, ale - zerknął na nią - wygląda na to, że wszyscy Denhamowie to wyjątkowo uparci ludzie.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Mówiąc wprost, twój brat nie zgodził się na opiekę policji.

- Głuptas! - jęknęła.

- Na szczęście odzyskał rozsądek. Wyruszył ze stadem i ktoś z daleka strzelił do niego.

- Strzelił? - Zbladła gwałtownie.

- Nic mu się nie stało, jednak przestraszył się na tyle, że udało mi się przekonać go, by ukrył się w naszym górskim obozowisku.

Pochyliła się do przodu, obejmując rękami kolana. Patrzyła w ziemię, jakby potrzebowała czasu, żeby dotarło do niej to, co usłyszała.

Kane miał nadzieję, że Charity uzna temat za wyczerpany. Jednak gdy uniosła głowę, w jej oczach ujrział złość.

- W dniu, gdy się poznaliśmy, mogłeś wziąć mnie na bok i wszystko wyjaśnić.

- Możesz mieć żal tylko do brata. Tim stanowczo się upierał, by nic nie dotarło do ciebie i waszego ojca.

- Przecież wiedziałeś, że zamartwialiśmy się na śmierć.

- Tak, ale Tim też się martwił. Zależało mu na waszym bezpieczeństwie. Był przekonany, że najlepsze wyjście to nie informować was o niczym. Bał się, że przestępcy znajdą was w Anglii, gdyby uznali, że coś wiecie o tej sprawie.

Westchnęła głęboko.

- Nadal uważam, że powinieneś mi powiedzieć.

- Posłuchaj, tak życzył sobie Tim. Nalegał, żeby ani policja, ani moja rodzina nie informowały cię o tej aferze. Twój młodszy brat podjął trudną decyzję. Nie daje ci to spokoju, prawda? Raz w życiu Tim zajął się swoimi sprawami, jak uznał za stosowne, nie pytając cię o zdanie, nie prosząc o pozwolenie.

Uparcie milczała.

- Dałem przecież słowo twojemu bratu. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wzruszyła ramionami.

- Czy dobrze zrozumiałam? Okłamywałeś mnie, pozwalając, bym zamartwiała się na śmierć tylko dlatego, że podaliście sobie ręce?

- Chwileczkę, Chaz. Jedno musimy sobie wyjaśnić. Nie okłamałem cię. Nie mam takiego zwyczaju. Natomiast podanie ręki oznacza bardzo wiele. Tu kupuje się i sprzedaje posiadłości warte miliony dolarów, dobijając targu przez uścisk dłoni. Ten gest pieczętuje umowę o wspólnej pracy przy budowaniu ogrodzeń lub wypasie bydła. Umawiamy się na spotkania w odległych miejscach o określonym czasie. I zawsze dotrzymujemy obietnic. Nawet tych złożo-

nych angielskim chłopaczkom, którzy mają więcej rozsądku niż ich rodziny.

Uśmiechnęła się kącikami ust.

- Kane, nie musisz się bronić z takim przejęciem. No i już możesz zejść ze skały.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w ferworze wyjaśnienie wskoczył na granitowy blok, jakby zamierzał przemawiać do tłumu. Zawstydził się i zeskoczył na dno wyschniętego strumienia.

- Kiedy ostatnio widziałeś Tima? - spytała trochę bardziej ugodowym tonem. - Skąd wiesz, że nadal jest bezpieczny?

- Jestem pewien, że wszystko z nim w porządku.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie uspokoję się, dopóki go nie zobaczę. Kiedy jest ten proces?

- Jutro.

- Jutro? Przecież to zupełne szaleństwo. Jak się dostanie do miasta?

- Planowaliśmy, że dziś go zabiorę i zawiozę do Mirrabrook. Oczywiście naszym samochodem - dodał z przepaszającym uśmiechem. - Jednak teraz, gdy Reid wyjechał, Vik jest ranny, a silnik uszkodzony, Tim nie będzie miał ze mnie wielkiego pożytku.

- Czyli nie będzie mógł zeznawać?

- Ma konia. Obawiam się, że to jedyne rozwiązanie. Jednak, jeśli ma zdążyć, musi wyruszyć dziś po południu.

Jęknęła.

- Charity, to się uda.

Zerwała się na równe nogi.

- W takim razie co my tu, do diabła, robimy? Siedzimy jak na pikniku. W drogę, Kane.

Nie czekając, ostro ruszyła do przodu. Kane podążył za nią, chwytając plecak i strzelbę.

Wysokie buty hałasowały na zwirowym dnie potoku.

- Hej! - zawołał Kane. - Jeśli nie zwolnisz kroku, daleko nie dojdiesz.

Mylił się!

Ku jego zdumieniu szła w szybkim tempie przez następne dwie godziny. Nie robiła nawet przystanków, by się napić, tylko w marszu pociągała czasem łyk z butelki.

Droga nie była łatwa. Dno strumienia pokrywały odłamki skał, jednak Charity dążyła naprzód z energią lwicy, która szuka zagubionego lwiątko. Krople potu pokrywały jej skórę. Pod rondem kapelusza włosy lepiły się w wilgotne strąki. Koszula na plecach przemokła od potu. Mimo to nadal parła przed siebie.

- Teraz już ci wierzę, że wspięłaś się na *Mount Snowden* - odezwał się Kane.

- Chcesz powiedzieć, że dotychczas mi nie wierzyłeś?

- Cóż, nie wyglądasz na alpinistkę. Sprawiasz wrażenie bardzo delikatnej osoby.

- Bzdury. - Zmarszczyła nos, ale też uśmiechnęła się. - Mam jasną karnację, więc wszystkim się wydaje, że jestem delikatna. Jednak nie daj się zwieść pozorom. Cała reszta jest...

Nie dokończyła zdania. Przestała się uśmiechać, opuściła kapelusz niżej na twarz i niemal zaczęła biec, jakby chciała zwiększyć odległość między nimi.

Kane z rozbawieniem obserwował jej zakłopotanie. Jesz-

cze bardziej by się zawstydziała, gdyby poznała jego marzenia.

Od kilku dni wyobrażał sobie, że delikatnie, bez pośpiechu całuje jej usta. Potem równie delikatnie pieści jej piersi. Później czeka na niego cała reszta... Do diabła! Po co tak siebie torturował. Istniały tysiące powodów, dla których nie powinny interesować go wdzięki Charity Denham.

Przyspieszył kroku, żeby się z nią zrównać.

- Mam nadzieję, że buty Annie dobrze ci służą. Jeśli dostaniesz odcisków, przekonasz się, co to znaczy mieć delikatne stopy.

Udała, że go nie słyszy.

Po południu opuścili koryto wyschniętego strumienia i przecięli krótki skrawek otwartej równiny, dzielącej ich od podnóża gór. Natknęli się na strumyk, który spływając z gór, tworzył drobne wodospady i kaskady.

- Już jesteśmy blisko, ale ostatni odcinek prowadzi pod górę - uprzedził ją.

Przytrzymując kapelusz, odchyliła głowę i spojrzała na krętą ścieżkę wiodącą ku szczytowi.

- Jak wysoko musimy się wspiąć?

Zanim zdążył odpowiedzieć, z góry dobiegł ich głośny okrzyk.

- Hej! - niosło się po zboczu.

Charity podskoczyła z radości i chwyciła Kane'a za rękę.

- Słyszałeś? To Tim, prawda?

- Nikt inny. - Zmrużył oczy, by dostrzec coś wśród roślin i skał. - Musiał nas zobaczyć i teraz schodzi.

- Dzięki Bogu. - Oczy zabłyśły jej z przejęcia. - Pośpieszmy się.

- Chaz, poczekaj. Idź za mną, bo spadniesz.

Jednak jego ostrzeżenie okazało się zbędne. Nim na dobre zaczęli wspinaczkę, Tim Denham pojawił się przed nimi, wychodząc z gęstych zarośli. Charity z okrzykiem rzuciła się ku niemu, on zaś otworzył usta ze zdumienia, gdy pod kapeluszem Annie ujrzał siostrę.

- Charity? - zawołał. - Co ty tu, do diabła, robisz?

Nie siliła się na żadną odpowiedź, tylko wyciągnęła ręce i rzuciła mu się na szyję. Tim ponad jej głową zerknął na Kanea.

- Kane, co się stało? Przecież obiecałeś, że moja rodzina nie będzie w to zamieszana.

- Tim, daj spokój i nie miej pretensji do Kane'a. Nie dałam mu żadnego wyboru. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Cóż... Tak... Oczywiście.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Najpierw poczuła wielką ulgę i radość. Bardzo bała się o brata. Prześladowały ją koszmarne sny, wyobrażenia podsuwała najstraszliwsze obrazy. Cały czas myślała o Timie jak o małym, zagubionym chłopcu, który potrzebuje jej pomocy.

Jednak teraz nie stał przed nią chłopiec, lecz przystojny, młody mężczyzna. Doskonale się prezentował w ciemnoniebieskiej koszuli, dzinsach i kapeluszu z szerokim rondem. Ten sam Tim, ale zdecydowanie wyższy, silniejszy i doroślejszy. Brodę pokrywał mu krótki zarost, a długie, czarne włosy spadały na kołnierz. Przez ramię miał przerzuconą strzelbę.

- Charity, nadal nie mogę uwierzyć, że to ty - powiedział, gdy Kane wszystko mu zrelacjonował. - Byłem przekonany, że to Annie.

- Musiałam przyjechać. Bardzo się martwiłam.

Oczywiście Tim ucieszył się na jej widok. Objął ją mocno. Odwzajemniła uścisk, ale starał się nie przesadzać z sentymentalnymi gestami. Powtarzała sobie, że za nic w świecie nie wolno jej się rozplakać.

- Naprawdę mi przykro, że nie mogłem powiedzieć wam, gdzie jestem - tłumaczył Tim. - Obiecałem ojcu, że będę

w kontakcie, wiedziałem, jak bardzo się martwicie, jednak nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ruszysz w taką podróż, by mnie szukać. - Odwrócił się do Kane'a. - Co jej powiedziałaś?

- Musiałem powiedzieć wszystko. Ten, kto uszkodził samochód, kręcił się wokół Southern Cross i śmiertelnie przestraszył Charity.

- A niech to - mruknął Tim.

- Stary Vik złamał rękę, gdy próbował naprawić wiatrak. Ktoś rozmyślnie go uszkodził.

Potem obaj zaczęli się zastanawiać, co Tim powinien teraz zrobić. Gdy rozmawiali, Charity nie mogła oderwać oczu od brata. Zmienił się bardzo. Dotyczyło to nie tylko wyglądu zewnętrznego, na co od razu zwróciła uwagę, ale przede wszystkim jego wnętrza. Sytuacja nie przeraziła go. Był pewnym siebie, twardym, zdeterminowanym mężczyzną, który śmiało patrzył niebezpieczeństwu w twarz. Zyskał siłę psychiczną, której dawniej tak bardzo mu brakowało. Ale cóż, ciężko pracował, żył w trudnych warunkach. No i poznał wspaniałych braci McKinnonów.

Przez ostatnie tygodnie wyobrażała go sobie jako zagubionego i przerażonego chłopca, któremu musiała biec na ratunek, jednak to już była zamknięta karta. Musiała pogodzić się z myślą, że przestała być jego opiekunką i mentorką.

Niestety, mieli dla siebie niewiele czasu. Tim poprowadził ich do występu skalnego nad krawędzią urwiska, gdzie znajdowało się wejście do jaskini. Charity była zaskoczona, że wewnątrz było jasno i przewiewnie. Tim z dumą poczęstował ich plackiem, który upiekł na węglach ogniska.

Dobrze smakował z miodem, który Tim podbierał dzikim pszczołom.

Posiłek trwał krótko. Tim musiał jak najszybciej wracać konno do Southern Cross.

- Jedź do pasterskiej chaty. Niech Ferret zabierze cię do starszego sierżanta Jacksona w Mirrabrook - tłumaczył Kane.
- Potem policja przewiezie cię do Townsville na proces. Jeśli zaraz wyruszysz, przejedziesz przez wzgórza jeszcze za dnia. Zresztą w nocy będzie pełnia, więc starczy ci światła, żeby się nie zgubić. Unikaj polnych dróg. Jedź na przełaj na skróty. Powiedz Ferretowi, żeby jutro po nas przyjechał.

- Jutro? - Charity dziwnie spojrzała na Kane'a. - Chcesz powiedzieć, że zostaniemy tu na noc?

Uśmiechnął się i puścił do niej oko.

- Nie martw się, Chaz. Będzie z ciebie świetna kobieta jaskiniowa.

Poczuła dreszcz na plecach. Dotychczas myślała wyłącznie o bezpieczeństwie brata. Nagle zaczęła myśleć także o sobie i nadchodzącej nocy. Będzie musiała zostać tu z Kaneem. Nie mają transportu, więc nie mają też żadnego wyboru. Jedyne miejsce do spania to legowisko przygotowane przez Tima na piasku. Musi wystarczyć dla nich obojga.

Z opóźnieniem zauważyła, że Tim bacznie się im przygląda. Rzucił bystre spojrzenie na uśmiechniętego Kane'a, potem na jej zaróżowioną twarz. Otworzył usta, jakby chciał zadać jakieś pytanie, jednak powstrzymał się w ostatniej chwili.

Tylko tego brakowało, pomyślała. Najwyraźniej młodszy brat obawiał się zostawić ją z Kaneem. Czyżby obawiał się

o jej niewinność? Tim przyglądał się jej w zamyśleniu jeszcze przez chwilę. Niemal wstrzymała oddech, by nie zrobić czegoś głupiego. Na przykład zaczerwienić się po uszy.

Miała ochotę powiedzieć mu, że jeśli wyobraża sobie, iż cokolwiek łączy ją z Kaneem, to się myli. Jednak byłoby zabawne, gdyby próbowała powiedzieć to bratu, szczególnie w obecności Kane'a.

- Charity, bardzo mi przykro, że już muszę cię opuścić - odezwał się Tim. - Jednak wiem, że zostając z Kaneem, będziesz pod dobrą opieką. On jest prawdziwą legendą - dodał z uśmiechem.

Kane chrząknął.

- Nie martw się o siostrę. Zjawiała się tu zaledwie kilka dni temu, ale już dała sobie radę w trudnych sytuacjach jak prawdziwy komandos.

- Oczywiście - stwierdził Tim z braterską dumą. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

- Teraz nie myśl o mnie. - Charity przerwała niemiłą ciszę. - Uważaj na siebie - powiedziała do Tima i objęła go mocno. - Koniecznie zadzwoń do ojca.

- Tak, obiecuję. A ty, siostrzyczko, przestań się martwić.

- Pocałował ją w policzek i objął na pożegnanie, jak w czasach, gdy byli jeszcze dziećmi.

- Nie odzyskam spokoju, dopóki nie skończy się ten proces, a ty znów zaczniesz normalnie żyć.

- Nie martw się. Całkiem dobrze mi się żyje.

Została przy wejściu do jaskini, a Kane i Tim zeszli do podnóża góry, gdzie uwiązany był koń. Poczwała, że opuszcza ją energia. Osiągnęła cel. Odnalazła Tima.

Jako kochająca siostra odważnie ruszyła na dzikie an-

typody. Była gotowa walczyć, przedzierać się przez busz, zdobywać informacje od małomównych hodowców. Teraz musiała przyznać, że jej wspaniały gest był zupełnie zbędny. Nie była tu potrzebna.

Czekała ją noc w jaskini z mężczyzną, który od chwili, gdy tylko go ujrzała, z niezwykłą mocą działał na jej zmysły. Gdyby Marsha wiedziała, że ona i Kane byli tu tylko we dwoje, poczerwieniałaby z zazdrości. Zupełnie jakby Charity Denham, ukochana córka proboszcza kościoła św. Albana w Hollydean, miała zamiar spędzić upojną noc z najseksowniejszym mężczyzną na świecie.

Niespodziewanie po jej policzkach spłynęły łzy, które tak skrzątnie powstrzymywała, żeby Tim ich nie zobaczył. Wyłumaczyła sobie, że to naturalna reakcja na kolejne rozstanie z bratem. Dotychczas była przekonana, że gdy tylko go odnajdzie, natychmiast odzyska spokój. Jednak tak się nie stało. Płacz też nie miał sensu. Naprawdę nie chciała, żeby Kane zastał ją we łzach, gdy wróci do jaskini.

Otarła rękawem moką twarz i głęboko odetchnęła. Była zmęczona długą wędrówką w upale. Bolały ją stopy, obawiała się, że nabawiła się odcisków. Ściągnęła wysokie buty i obejrzała stopy. Tylko na piętach pojawiły się drobne otarcia.

Obok wejścia do jaskini zebrała się woda. Charity usiadła na rozgrzanej słońcem skale, zanurzyła stopy w chłodnej wodzie i dokładnie przyjrzała się otoczeniu.

Musiała przyznać, że jaskinia robiła całkiem komfortowe wrażenie. Gdyby w epoce jaskiniowej istnieli pośrednicy handlu nieruchomościami, mieliby co wychwalać. Piękne ściany z terakoty, wysoko sklepiony sufit i podłoga pokryta miękkim, białym piaskiem. Do tego zagłębienie

skalne przy wejściu, spełniające rolę małego basenu. Od wejścia rozciągał się wspaniały widok na Star Valley. Doskonała lokalizacja!

Wewnątrz jaskini stał metalowy stół oraz pojemnik pełen suszonej żywności i konserw. Były też naczynia i otoczone kamieniami miejsce na ognisko. Tim miał tu całkiem dobre warunki.

Charity przechyliła się do tyłu, oparła na łokciach i spojrzała na błękitne niebo. Świat wydawał się tu wyjątkowo spokojny. Oprócz śpiewu ptaków panowała kompletna cisza. Zaczęła wreszcie doceniać urok tutejszego krajobrazu. Składał się nie tylko z drzew kauczukowych i gorącego pyłu.

Była przyzwyczajona do urody ojczystej ziemi. Łagodny obraz pól i łąk, kręte drogi i urokliwe wioski.

Natomiast tutejsze tereny strzegły swej urody jak najcenniejszej tajemnicy. Jednak jeśli dostrzegło się ich urok, efekt zapierał dech w piersiach.

Żałowała, że nie miała z sobą pędzli i farb. Cudownie byłoby namalować ten widok, zieloną wodę wśród skał, błękitne niebo, drobne rośliny kurczowo trzymające się kamieni, a nad nimi czarne i białe motyle.

- O czym tak myślisz, Chaz?

Odwróciła się zaskoczona. Kane szedł wśród skał w jej kierunku.

- Nie słyszałam cię. Tim już pojechał?

-Tak.

- Nic mu się nie stanie?

- Oczywiście. Jeśli dobrze się przyjrzysz, zobaczysz pył wzbijany przez kopyta jego konia.

Spojrzała w dolinę.

- Tam. - Wskazał ręką.

Poczuła gęsią skórę, gdy otarł się o jej ramię. Dostrzegła niewielką białą chmurkę przesuwaną się dnem doliny. Obserwowali ją długo, dopóki nie znikła wśród odległych drzew.

- Przyznasz, że to piękny widok - odezwał się Kane.

- Wspaniały. Szkoda, że nie wzięłam aparatu fotograficznego. Chciałabym mieć taką pamiątkę.

Milczał przez chwilę.

- Gdy wrócimy do Southern Cross, pokażę ci moje zdjęcia. Sporo zrobiłem z tego miejsca. Weźmiesz sobie, które zechcesz.

- Dzięki. Bardzo chętnie - powiedziała z uśmiechem.

Jednocześnie zdała sobie sprawę, że wkrótce zakończy podziwianie tutejszych krajobrazów i wróci do domu. Odnalazła Tima i nie miała żadnego powodu, żeby nadal się tu kręcić. W Southern Cross poradzą sobie bez niej. Natomiast ojciec potrzebował jej w kościele św. Albana.

Postanowiła zmienić temat.

- Jakie to uczucie, gdy patrzysz na taką okolicę i wiesz, że to wszystko należy do ciebie?

Kane zastanawiał się przez chwilę.

- To nie tyle poczucie własności, co przynależności do tej ziemi. To moje miejsce. Czuję wdzięczność wobec losu, że mogę tu żyć i pracować.

- Kochasz to, prawda?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. Może wynika to z mojego szkockiego pochodzenia. Podobno właśnie Szkoci pierwsi porzucili wy-

godne życie na wybrzeżu i zasiedlili najtrudniejsze obszary Australii.

- Cóż, moja rodzina to Anglicy z dziada pradziada. Jednak bardzo podoba mi się tutaj. Chętnie namalowałabym to, co widać przed nami.

- Naprawdę? Jesteś malarką?

- Nie, choć bardzo chciałabym nią zostać, ale... - Wzruszyła ramionami. - To zabrzmiało jak najmarniejsze usprawiedliwienie pod słońcem, ale nigdy nie miałam na to dość czasu.

- Domyślam się, że byłaś zbyt zajęta domem i pracą w szkółce niedzielnej.

- Tak to wyglądało.

- Szkoda. Zaslugujesz na odrobinę wolnego czasu dla siebie - powiedział z przekonaniem.

- W czasach szkolnych nauczyciele bardzo namawiali mnie do malowania. Myślę, że kiedyś do tego wrócę.

- Najpierw musisz znaleźć bogatego męża.

Obruszyła się.

- Bogaty mąż to świetny pomysł - stwierdziła chłodno.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Masz rację. Potrzebuję uroczonego człowieka, który będzie na tyle wyrozumiały, by pozwolić mi malować do woli.

- Wydaje mi się, że każda kobieta szuka wyrozumiałego męża.

W jego głosie wyczuła tak dobrze znane złośliwe rozbawienie. Zmusiła się do uśmiechu.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że powinnam szukać męża, a nie zaginionego brata? Tym bardziej że brat wcale nie uważał się za zaginionego.

- Właśnie - powiedział zdecydowanie. - Gdy wrócisz do domu, rozejrzyj się za niezwykle kulturalnym Brytyjczykiem opływającym w pieniądze. Kimś, kto zapewni ci miłe mieszkanie w Londynie i domek na wsi.

- Zabrzmiało to tak, jakbym miała zostać utrzymanką, a nie żoną.

- Cóż... Być kochanką to tylko jedno z rozwiązań.

Coś w jego głosie skłoniło ją, by unieść głowę. Spojrzeli sobie w oczy. Patrzył na nią rozpalonym wzrokiem. Nagle przymknął oczy i pokręcił głową.

- Może jednak się myłę. Takie kobiety jak ty nie zostają kochankami. Prawda, Chaz?

Zdecydowanym ruchem wyciągnęła nogi z wody. Pomachała nimi na boki, żeby pozbyć się wody.

- To najbardziej bezsensowna rozmowa w moim życiu - powiedziała, starając się o beztroski ton. - Wszystko zaczęło się od tego, że chciałam namalować ten piękny zakątek. Na pewno nie byłabym w stanie malować, kręcąc się między mieszkaniem w Notting Hill a domkiem na wsi mojego kochanka.

Kane długo milczał.

- Cóż - powiedział w końcu - jeśli rzeczywiście chcesz malować te widoki, zawsze możesz tu wrócić. Będiesz miłe widziana.

Było to uprzejme zaproszenie, które mógł złożyć dowolnej osobie. Może dlatego nagle posmutniała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czarne cienie na ścianach jaskini rozjaśniały pomarańczowe płomienie ogniska. Kane pochylił się nad Charity.

- Całowałaś się kiedyś w jaskini?

Leżała w śpiworze na piaszczystej podłodze jaskini i drżała z pożądania.

- Nie - szepnęła. - A ty?

- Też nie. - Uśmiechnął się tak zmysłowo, że zapragnęła natychmiast całować jego usta.

- Nie sądzisz, że powinienem przeżyć coś takiego? - Pochylił się nad nią.

Rozchyliła usta w oczekiwaniu i...

Obudziła się gwałtownie. Było jej zimno. Ognisko wypaliło się niemal do końca. Owinęła się szczelnie swetrem. Zauważyła, że sąsiedni śpiwór jest pusty. Kane stał u wejścia do jaskini.

-Kane?

Odwrócił się do niej.

- Dlaczego wstałaś?

- Obudziłam się, bo zrobiło mi się zimno. A ty? Dlaczego nie śpisz?

- Chciałem trochę popilnować.

- Pilnujesz? Stoisz tu przez całą noc?

Nie odpowiedział. W świetle księżyca jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w skale.

- Spróbuj zasnąć - odezwał się w końcu.

Miała spać, gdy on dla jej bezpieczeństwa trzymał wartę? Przecież po długiej wędrówce też musiał być zmęczony.

Popatrzyła na skały, drzewa i rozległą dolinę. Cała okolica wyglądała w nocnym mroku tak dostojnie i cicho jak opustoszała katedra. Całe zbocze nabrało pięknego srebrnego odcienia.

- Spójrz, Kane! Księżyc odbija się w wodzie wśród skał. Czy to nie cudowne?

Nie odpowiedział, ale gdy odwróciła się do niego, zauważyła, że przygląda się jej, nie odrywając wzroku. Przypomniała sobie swój sen. Obejmij mnie, Kane, i pocałuj, pomyślała.

- Wiesz może, która jest teraz godzina? - spytała niepewnym tonem.

- Około czwartej. Jeśli wrócisz do śpiwora, będziesz mogła jeszcze długo pospać.

Jak mogłaby zasnąć? Jeśli znów się położy, będzie myśleć o nim. Musiała rozmawiać. To było bezpieczniejsze od ciszy.

- Wiesz, gdzie teraz może być Tim?

- Jest dobrym jeźdźcem i ma dobrego konia, więc pewnie już dojechał do Ferreta. Możliwe, że jadą już do Mirrabrook.

Westchnęła.

- Już nie chce mi się spać. Dotrzymam ci towarzystwa.

- Usiadła na płaskim odłamku skalnym. - Po powrocie do

domu nie zobaczę już takich gwiazd, więc chcę się nimi nacieszyć. - Oparła stopy o skałę i objęła rękami kolana. - Pomyśl, Kane, że tysiąc lat temu Aborygeni mieszkali w tej jaskini i spoglądali na te same gwiazdy.

Roześmiał się cicho.

- Widzę, że jesteś w refleksyjnym nastroju.

Zamiast tego wolałaby go pocałować, ale brak jej było odwagi.

Siedziała nieruchomo, podziwiając nocny widok i starając się nie myśleć o swoim śnie.

- Aborygeni mają legendę o powstaniu gwiazd - odezwał się Kane.

- Znasz ją?

- Stary człowiek porwał dwie piękne kobiety. Jedna z nich uciekła na bagna. Ruszył za nią z pochodnią w ręku. Gdy pochodnia dotknęła wody, iskry z sykiem uniosły się w niebo i pozostały tam jako gwiazdy.

- Rzeczywiście, gwiazdy wyglądają jak iskry. - Spojrzała na niebo. - Co się stało z tą kobietą? Schwycił ją?

- Nie. Zanurkowała głęboko i odpłynęła.

- A ta druga, która nie uciekła?

- Starzec zamienił ją w najjaśniejszą gwiazdę.

Uśmiechnęła się.

- Mógł je spotkać gorszy los.

Zapadła niezręczna cisza. Nagle gdzieś w górach rozległ się przejmujący dźwięk, przypominający syk.

- Co to było? - Błyskawicznie zerwała się na nogi.

- To tylko sowa.

- Sowa? Zabrzmiała jak przelatująca bomba, która zaraz wybuchnie.

Uśmiechnął się.

- Na pewno tylko sowa.

Jego uśmiech wywołał w niej dreszcz. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Kane tak na nią działał. Czy tylko dlatego, że był męski, silny i czuła się przy nim bezpiecznie?

- Jak ci się udaje nie spać przez całą noc? - spytała. - Musisz być wyczerpany. To na pewno nie jest konieczne. Tim spał tu bez strażnika przy wejściu.

Wzruszył ramionami.

- Nie pierwszy raz czuвам przez całą noc. Nie przejmuj się. Nic mi nie będzie.

- Myślisz, że ktoś mógł nas wyśledzić?

- Całkiem możliwe. Wolę nie ryzykować.

- Bardzo rycerska postawa.

- Chaz, nie ma w tym nic rycerskiego. Po prostu zdrowy rozsądek.

Przez całe życie kierowała się zdrowym rozsądkiem i miała już tego dość. Pod wpływem impulsu podeszła bliżej, żeby pocałować go w policzek. Jednak nim dotknęła ustami nieogolonego policzka, Kane zeszywniał.

- Nie! - jęknął i odskoczył do tyłu, jakby go uderzyła.

- Chciałam ci tylko podziękować.

- Charity, wracaj spać. Nie powinnaś rzucać się w ramiona mężczyzny, z którym jesteś sama w środku nocy - powiedział niskim, ostrym głosem.

- Dlaczego miałabym rzucać ci się w ramiona? - spytała, wyprowadzona z równowagi. - Chciałam ci tylko podziękować całusem w policzek. Nie martw się. Nie będę tracić czasu.

Chciała się odwrócić i odejść, lecz Kane wyciągnął dłoń,

przytrzymując jej brodę. Oczywiście powinna się natychmiast uwolnić, zaprotestować, powiedzieć, że nie ma prawa jej dotykać, jednak jak mogła protestować, gdy czuła, że za chwilę Kane ją pocałuje? Przymknęła oczy i rozchyliła usta.

- Chaz! - rzucił głośno zniecierpliwionym tonem i cofnął rękę. - Będzie najlepiej dla ciebie, jeśli już pójdziesz.

- Mam sobie pójść?

- Wróć do jaskini i nie wychodź z niej.

Poczuła się podle, jak uczennica, która narzuca się z niewczesnym uczuciem swemu profesorowi. Niczym ukarany szczeniak wróciła na swoje miejsce. Zaszyła się w śpiworze i pragnęła zniknąć.

Tylko jeden drobny pocałunek, pomyślał Kane i jęknął. Czy Charity nie zdawała sobie sprawy, że jej pragnął? Stał tu przez cały czas, starając się nie myśleć o jej wspaniałym ciele. Próbował nie myśleć o jej ustach ani piersiach.

Jeden pocałunek - nawet w policzek - mógł zachwiać jego siłą woli. W jednej chwili leżeliby w namiętym uścisku.

Byłaby to katastrofalna sytuacja. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby wykorzystać córkę pastora? Tim zaufał mu. Zostawił siostrę pod jego opieką.

Kane nie marzył o jednej upojonej nocy z Charity Denham. Gdyby okoliczności na to pozwoliły, starałby się ją zdobyć, umawiając się na randki, kolacje, tańce i na co tylko miałyby ochotę.

Jednak okoliczności i czas nie pozwalały na takie starania. Zresztą jaki miałyby to sens? Przyjechała do Australii w konkretnej sprawie, którą mogła uznać za zakończo-

ną. Nie planowała dłuższego pobytu. Dlaczego miałyby zostać na dzikim odludziu, jeśli w Anglii była bezpieczna jak w niebie? Podobnie jak jego matka na pewno otrzepie z butów tutejszy pył.

Wreszcie nastał świt. Zaparzyli herbatę. Nad ogniskiem opiekali na patykach kromki chleba i smarowali je miodem dzikich pszczół.

Dzień mijał im wyjątkowo wolno. Czekali na przyjazd Ferreta. Panował straszny upał. Chłodzili się w zagłębieniu skalnym pełnym wody.

Rozmawiali o Timie i procesie, o Reidzie, Annie, ojcu Charity i o innych osobach. Unikali rozmowy na własne tematy. Zupełnie jakby obawiali się dowiedzieć za dużo o sobie nawzajem.

Charity doszła do wniosku, że Kane słusznie postąpił, nie zgadzając się ostatniej nocy na żadne przyjacielskie pocałunki. Oboje dobrze wiedzieli, że nie skończyłoby się na tym. Jaki sens miałyby angażowanie się uczuciowe, skoro wkrótce wróci do domu na drugim końcu świata?

Tuż po lunchu zjawił się Ferret. Przyjęli to z wielką ulgą. Ku zaskoczeniu Charity, Kane uparł się, że usiądzie za kierownicą.

- Będzie ci wygodniej przy oknie, a Ferret usiądzie w środku - zarządził.

Gdy zajęli miejsca w ciasnej kabinie, Charity zdała sobie sprawę, że Kane'owi zależało, by nie ocierać się o nią w czasie jazdy po wyboistym terenie. Natomiast Ferret był zachwycony. Opierał się o nią biodrem i uśmiechał przez całą drogę.

Ciężarówka Ferreta nie miała klimatyzacji, jechali więc z opuszczonymi szybami. Hałas uniemożliwił rozmowę, co bardzo odpowiadało Charity. Marzyła tylko o tym, by dojechać do Southern Cross, wskoczyć pod prysznic, a potem zadzwonić do ojca, by ustalić szczegóły powrotu.

O zmierzchu Kane wkroczył do kuchni po zimne piwo z lodówki. Za późno się zorientował, że Charity rozmawiała z ojcem przez telefon.

- Mogę wrócić, gdy tylko zakończy się sprawa w sądzie - mówiła właśnie.

Kane nie chciał podsłuchiwać, odwrócił się więc na pięcie, żeby wyjść.

- Dlaczego? - zawołała. - Nie jestem ci potrzebna? Stała plecami do Kane'a. Widział, jak z napięcia unosiły jej się ramiona. Ścisnęła słuchawkę, aż pobieleły jej palce. Czyżby jakieś złe nowiny? - pomyślał i podszedł bliżej.

- Alice? - krzyczała do telefonu. - Alice Bainbridge? - dopytywała się zaskoczona. - Tak, rozumiem... - Opadła na kuchenny taboret. - Cóż, jestem zaskoczona, ale to wspaniała nowina.

Kane zdawał sobie sprawę, że już dawno powinien wyjść, jednak nie mógł zrozumieć, dlaczego Charity tak bardzo przeżywała tę rozmowę.

- Bardzo się cieszę - mówiła bliska płaczu. - Nie, nie płaczę. Przemyślę wszystko i skontaktuję się z tobą. Do widzenia.

Przekaż Alice pozdrowienia. - Odłożyła słuchawkę.

- Charity, o co chodzi? Złe wiadomości?

Nie od razu zareagowała. Dotknął jej ramienia.

- Chaz?

Gwałtownie uniosła głowę. Miała łzy w oczach.

- Co się stało? - dopytywał się Kane. - Źle się czujesz?

- Nie. - Zasłoniła na chwilę twarz, próbując się opanować, jednak rozszlochała się na dobre i wybiegła z kuchni.

Przystanąła na tylnej werandzie, opierając się o barierkę. Kane w pierwszej chwili chciał wrócić do domu. Nie potrafił patrzeć na kobiece łzy. Jednak tym razem chodziło o Chaz, a on czuł się za nią odpowiedzialny.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytał, stając obok.

- Nie, Kane. - Wzięła głęboki oddech. - Zachowałam się bardzo głupio. Za chwilę mi przejdzie.

- Chcesz, żebym został?

- Nie... To znaczy tak, bardzo proszę. - Odwróciła się do niego, próbując się uśmiechnąć. - Ojciec się żeni, nie mam więc powodów do smutku.

- Rozumiem, że cię to zupełnie zaskoczyło.

- Całkowicie. Żeni się z Alice Bainbridge, którą poprosiłam, żeby opiekowała się nim w czasie mojej nieobecności.

Uśmiechnął się.

- Musiała się bardzo starać.

- Też tak myślę. - Uniosła brwi. - Teraz sobie przypominam, że właściwie sama mi to zaproponowała z wielkim entuzjazmem.

- Czyli już wcześniej miała go na celowniku. Masz do niej jakieś zastrzeżenia?

- Cóż, dla niego jest idealna. Sympatyczna wdowa z dwójką dorosłych dzieci. Atrakcyjna, zamożna, do kościoła chodzi w każdą niedzielę. - Charity przymknęła oczy, jakby chciała powstrzymać napływające łzy. - Szczerze mówiąc, wcale nie jest mi przykro, że ojciec się żeni.

- W takim razie co cię martwi?

- Nie zrozumiesz.

- Może jednak mi powiesz?

Spojrzał w jej piękne, zielone oczy z długimi rzęsami. Po raz kolejny powtórzył sobie, że musi uważać, bo za chwilę ulegnie ich czarowi.

- Pewnie zabrzmiało to głupio, ale rozkleiłam się, bo wszyscy są szczęśliwi. Tim i ojciec już mnie nie potrzebują. - Rozplakała się ha dobre.

Kane objął ją i oparł jej głowę na swoim ramieniu. Czuł drżenie jej ciała. Pachniała mydłem i szamponem. Delikatnie zaczął głaskać ją po głowie.

Pamiętaj, że to Charity, powtarzał sobie. Nie zrób niczego głupiego. Nie próbuj jej całować. Nie myśl o tym, jak pachnie i jaka jest seksowna.

Obejmował ją, starając się nie stracić głowy. Gdy zaczęła się uspokajać, delikatnie odsunął ją od siebie.

- Przepraszam cię, Kane. - Otarła oczy rękawem. - Zaczęłam się uspokajać, delikatnie odsunął ją od siebie.

- Co powiesz na filiżankę herbaty?

- Chętnie. Dziękuję. Tymczasem pójdę umyć twarz.

Gdy wróciła do kuchni, była bardziej opanowana, choć nadal blada i z wilgotnymi oczami. Usiedli przy kuchennym stole. Stał tam już duży, brązowy dzbanek z herbatą i dwa kubki.

- Przepraszam, że się tak rozkleiłam. - Uniosła kubek

- Nie wiem, co się ze mną stało.

- Przecież to oczywiste, Chaz. Przez długie lata twoim głównym zajęciem była opieka nad ojcem i Timem. Nag-

le się okazało, że Tim potrafi świetnie zadbać o siebie. Na dodatek ojciec znalazł sobie żonę. Poczulaś się zbędna, a to poważny cios.

- Widocznie jestem mniej odporna, niż mi się wydawało.

- Chaz, nie jestem psychologiem, ale sama powiedziałaś, że poświęciłaś się rodzinie, żeby łatwiej znieść śmierć mamy. Teraz nagle pozbawiono cię tej roli. Potrzebujesz czasu, żeby się z tym oswoić.

- Masz rację - przyznała cicho.

Na chwilę zamilkli, pijąc herbatę.

- Teraz będziesz wreszcie mogła pomyśleć o sobie. Możesz zająć się malarstwem lub czymkolwiek, na co będziesz miała ochotę.

- Słusznie - przyznała, choć na razie nie potrafiła się tym cieszyć.

Kane chrząknął, przerywając kolejną chwilę ciszy.

- Reid dzwonił, gdy byłaś w łazience.

- Udało mu się skontaktować z Annie?

-Tak.

- Co u niej?

- W porządku. Co prawda mówiła bardzo ogólnie o tym, co robi w Brisbane, ale przekonała Reida, że nie mamy powodów, żeby się o nią martwić. Reid znalazł nam też kucharza.

- Kucharza? - upewniła się.

- Tak. Reid doszedł do wniosku, że trochę za bardzo wykorzystywaliśmy Annie.

- Naprawdę tak było?

Kane skrzywił się.

- Możliwe. W każdym razie nasza siostra zasługuje na

to, by pobyć w wielkim mieście i poznać ludzi. Reid spotkał w Hughenden faceta, który był kucharzem na farmach przez trzydzieści lat. Jest żywą legendą buszu. Reid zaproponował mu pracę u nas.

- Rozumiem.

- Co się dzieje? Myślałem, że będziesz zadowolona.

- Dlaczego?

- Jesteś wolna. Nie musisz tu tkwić. Możesz wyjechać ze Star Valley. Jak mówią: cały świat stoi przed tobą otworem.

Pomyślała, że Kane'owi łatwo jest dawać dobre rady. Natomiast ona nie potrzebowała całego świata. Jedyne człowiek, którego pragnęła, siedział po przeciwnej stronie stołu. Była przekonana, że tylko on traktowałby ją jak prawdziwy skarb.

Jednak nie potrafiłaby powiedzieć mu tego, bo najwyraźniej nie był nią zainteresowany.

- Kiedy będziesz miał czas i ochotę, mógłbyś podrzucić mnie do miasta. Mogę jechać w każdej chwili - powiedziała wbrew sobie.

Jego twarz zeszywniała. Obracał kubek dłońmi i długo się nie odzywał.

- Muszę pojechać po Vika, będę więc mógł cię podrzucić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Choć Kane zdawał sobie sprawę, że nie może zatrzymać Charity w Southern Cross, przez następne dwa dni nie zrobił nic, żeby ułatwić jej wyjazd. Unikał tematu rozstania, choć mieszkanie z nią pod jednym dachem stawało się torturą.

Starał się trzymać od niej z daleka. Pracował poza domem, gdy tylko było to możliwe. Wieczorami zamykał się w gabinecie, udając, że ma pilne dokumenty do wypełnienia. Jednak były jeszcze wspólne posiłki i mnóstwo pretekstów, by szukać jej towarzystwa.

Chciał na nią patrzeć, cieszyć się jej widokiem, obserwować jej piękne dłonie przy pracy, słuchać jej głosu...

Nigdy przedtem nie zadawał sobie takiego cierpienia. Jeśli miał ochotę na jakąś kobietę, po prostu starał się zdobyć ją jak najszybciej. Lecz Charity była inna. Jeśli zaczęłoby się coś między nimi, pragnąłby, żeby trwało zawsze. Jednak ona chciała stąd uciec.

Zaczął robić bezsensowne porównania. Przypomnił sobie, że gdy miał sześć lat, hodował motyla w słoiku. Stworzenie oczywiście zdechło. Gdy miał dziesięć lat, usiłował hodować jaszczurkę w akwarium. Bardzo się starał, żeby znaleźć dla niej odpowiednie żuki i owady. Przepadał za

nią, ale kazano mu ją wypuścić na wolność, gdyż przebywanie w niewoli zaczęło wyraźnie jej szkodzić.

Jak miałyby dzielić życie z kobietą taką jak Charity? Pochodziła z północnej półkuli, z zupełnie innego świata. Jego matka skorzystała z pierwszej okazji, by wyjechać do Szkocji, i nie zamierzała stamtąd wracać.

Trzeciego dnia rano Kane wyszedł na tylną werandę. Natychmiast zauważył, że Lavender, collie należąca do Annie, zachowuje się inaczej. Postawiła uszy, machała ogonem i kręciła się z przejęciem. Na widok Kanea zaczęła biegać po całej werandzie.

- Spójrz na Lavender - powiedziała Charity. Niosła właśnie do prania kosz lnianych rzeczy. Odstawiła go i wyciągnęła ręce do suki, która z radości niemal ją przewróciła. - Spokojnie, chyba niczego nie piłaś? - zażartowała.

- Na pewno Annie wraca do domu. Jakimś cudem Lavender zawsze wyczuwa, gdy Annie się zbliża. Prawdopodobnie jedzie z listonoszem.

Dwa razy w tygodniu listonosz robił pętlę z Mirrabrook przez wszystkie farmy w Star Valley i wracał do miasta.

- Listonosz dorabia jako taksówkarz?

- Nie jest to oficjalna praktyka. Po prostu wyświadcza ludziom przysługę i podwozi ich po drodze.

Spojrzała na niego z dziwną miną.

- Czy zawiózłby mnie do Mirrabrook?

Kane poczuł się, jakby połknął kamień.

- Jasne... Tak ci się spieszy do wyjazdu?

- Cóż, jeśli Annie tu będzie, nie będę już potrzebna. Tim złożył zeznania. Chciałabym spotkać się z nim w Towns-

ville, żeby wspólnie pozwiedzać. Może uda mi się zobaczyć Wielką Rafę Koralową.

- Oczywiście. Świetny pomysł.

Kane starał się udawać obojętność, ale tak naprawdę poczuł się opuszczony.

- Włożę te rzeczy do pralki i zacznę się pakować - powiedziała.

Zerknął w jej stronę. Cofnęła ramiona, jakby zmagająca się z wiatrem. Była blada, natomiast w spojrzeniu widać było determinację.

- Daj spokój z tym praniem - mruknął. - Lepiej się spakuj. Poczta ciężarówka może się tu zjawić w ciągu godziny.

- Słusznie. Listonosz nie powinien na mnie czekać.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Chaz - powiedział Kane ochryplym głosem.

- Słucham? - Zatrzymała się.

- Chciałem ci tylko powiedzieć... - Przełknął ślinę. -

Czasem trudno pożegnać się w ostatniej chwili...

- Tak - szepnęła.

- Na wypadek, gdybym później nie miał czasu, chciałem ci powiedzieć...

Policzki jej się zaczerwieniły i Kane zapomniał, co zamierzał powiedzieć.

- Hm... Gdy już zaczniesz szukać męża w Anglii, celuj jak najwyżej. Zaslugujesz na kogoś z najwyższej półki.

- Dziękuję - powiedziała z błyskiem w oku. - Jeśli zacznę szukać męża, skorzystam z twojej rady.

- Doskonale tu pasowałaś i jestem ci za to wdzięczny.

- Nieźle jak na angielską panienkę?

Zauważył, że próbowała się uśmiechnąć, jednak jej wysiłki spełzły na niczym.

- Szczerze mówiąc, byłaś fantastyczna.

Zagryzła wargę i szybko się odwróciła. Miał przed sobą jej szczupłą szyję. Włosy związała w niedbały węzeł, zostawiając odsłonięty kark. Jej jasna skóra kontrastowała z włosami w kolorze jasnego koniaku.

- Jeszcze jedno - powiedział.

- Tak...? - Zesztywniała gwałtownie, ale nie odwróciła się do niego.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Zadrżała i zachwiała się. Kane szybko ją objął. Zatopili się w pocałunku. Początkowo spokojnie, lecz po chwili coraz gwałtowniej, jakby nie mogli się sobą nasycić. Objęła go za szyję, przywierając do niego całym ciałem. Kane gładził palcami jej jedwabiste włosy. Całował jej twarz i szyję. Z zapalem odwzajemniała pieszczoty. Narastało wzajemne pożądanie...

Nagle rozległo się szaleńcze ujadanie Lavender. Kane próbował zignorować psa. Przycisnął Charity mocniej do siebie. Jednak szczekanie suki mogło oznaczać tylko jedno: nadjeżdżała ciężarówka.

Kilka sekund później dobiegł ich odgłos silnika. Kane niechętnie uwolnił Charity z uścisku. Zerknął przez okno. Lavender zbiegła po schodach werandy i popędziła za róg budynku. Kane oparł czoło o czoło Charity. Zamknął oczy. Czuł jej szczupłe ciało, dotyk włosów na policzku, zapach skóry.

Pomyślał, że gdyby nie czekał tak długo, sprawy między

nimi mogłyby wyglądać inaczej. Teraz nie było nawet czasu, żeby przekonać się, jakie znaczenie miały te pocałunki.

Przed frontem budynku rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu.

- To pewnie pocztowa ciężarówka - stwierdziła Charity. Nie odpowiedział.

- Hej, Kane, gdzie jesteś? - rozległ się okrzyk. Pocałował Charity jeszcze raz.

- Już idę, Annie! - Chciał powiedzieć Charity, żeby się nie pokazywała, ale już zdążyła się odwrócić i wyjść. Pomyślał też, z jaką determinacją mówiła o wyjeździe.

Charity wpadła do pokoju z zamglonymi oczami. Wyciągnęła walizkę spod łóżka, otworzyła szuflady i zaczęła wyciągać ubrania. Trzęsły się jej ręce, więc garderoba bezładnie lądowała w walizce.

Pocałunek Kanea był dla niej wielkim wstrząsem. Zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę, jak taki pocałunek mógł wpłynąć na kobietę, szczególnie na tak niedoświadczoną romantyczkę jak ona. Pewnie nie miało to dla niego większego znaczenia... On i Marsha całowali się tak przy każdym spotkaniu, nie wspominając o innych intymnych pieścizotach.

Rozzłoszczona tą myślą, wrzuciła wysokie buty na jedwabną bluzkę. Rozmyślenia o Kanie nie miały sensu. Podobnie jak nadawanie pocałunkowi specjalnego znaczenia. Co prawda nie mogła tego oceniać na podstawie własnego, bardzo skromnego doświadczenia. Dotąd uważała, że uczucia i współzycie dwojga ludzi są źródłem przyjemności, które umilają życie - i nic więcej.

Dopiero w ramionach Kanea poczuła prawdziwy, zmysłowy ogień. Nagłe zaczęła żałować, że tak bardzo nalegała na jak najszybszy wyjazd z Southern Cross. Czy można byłoby teraz wyjść przed dom i powiedzieć Kane'owi, że zmieniła zdanie i chciałyby zostać? Czy byłby zaskoczony? - zastanawiała się.

Od strony kuchni dobiegały ożywione głosy. Młoda kobieta - musiała to być Annie - rozmawiała z Tedem, listonoszem, który od czasu do czasu wybuchał jowialnym śmiechem. Charity nie miała pojęcia, czy jej pobyt na farmie, po powrocie Annie, nadal byłby mile widziany. Na dodatek Reid miał tu się zjawić z kucharzem. Jaki pretekst musiałyby wymyślić, żeby przedłużyć pobyt?

Czuła się pokonana. Szybko poszła do łazienki po szampon i szczoteczkę do zębów. Już niewiele pozostało do spakowania. Wróciła do sypialni i właśnie zamykała torbę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. W progu stała szczupła blondynka. Miała radosne spojrzenie i ciepły uśmiech. Tuż za nią Lavender wesoło machała ogonem.

- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

- Byłam bardzo zamyślona - wyjaśniła Charity. - Domyślałam się, że jesteś Annie.

- Tak - Z uśmiechem wyciągnęła rękę. - Miło cię poznać, Charity.

Annie miała włosy nieco jaśniejsze niż Kane, identyczne niebieskie oczy i szczupłą, umięśnioną sylwetkę.

- Przykro mi, że witamy się i żegnamy jednocześnie. Kane mówił, że chcesz się zabrać z Tedem do miasta.

Właściwie to już nie, pomyślała. Nie wiedziała, czy może zaufać Annie. Za jej pośrednictwem mogłaby

dowiedzieć się, jakie znaczenie dla Kane'a miał ich pocałunek. ...

- Chciałabym w Townsville spotkać się z bratem.

- Tak, rozumiem. Dobrze, że proces już się skończył.

Cieszę się, że Tim ma to za sobą. Wreszcie może naprawdę cieszyć się życiem.

- Mnie również kamień spadł z serca.

Annie skrzyżowała ręce na piersi i oparła się biodrem o futrynę.

- Słyszałam, że w czasie, gdy mnie tu nie było, uratowałaś Kanea przed śmiercią głodową.

Charity tylko wzruszyła ramionami. Obawiała się, że jeśli powie cokolwiek o Kanie, nie będzie w stanie ukryć swoich uczuć.

- Twój brat uparł się, żebym skorzystała z twoich ubrań.

Używałam kapelusza, butów i kilku bluzek.

- Dobrze zrobiłaś.

- Dziękuję. Położyłam je już na swoim miejscu.

- Jak ci idzie pakowanie? Może ci pomóc? Nie zostawiłaś czegoś? - Uważnie rozejrzała się po pokoju.

- Wydaje mi się, że wzięłam wszystko.

- Świetnie. Nie chcę cię popędzać, ale zdaje mi się, że Ted chciałby już jechać.

- Tak, oczywiście.

Charity zamknęła walizkę i postawiła ją na podłodze.

- Kane pomoże ci ją zanieść - oświadczyła Annie. - Kane! Chodź tu. Twoje wielkie mięśnie mogą się wreszcie na coś przydać.

Charity szybciej zabiło serce, gdy usłyszała odgłos wysokich butów dobiegający z holu. Szybko sprawdziła za-

wartość torebki. Wszystko było na miejscu: portmonetka, paszport, kluczyk do walizki, szczotka i pamiątka z Southern Cross - gładki kamyk z potoku z odciskiem skamieniałej muszli.

Nie podniosła wzroku, gdy Kane wszedł do pokoju.

- Coś jeszcze? - spytał, podnosząc walizkę.

Udała, że szuka czegoś na dnie torebki.

- Nie, tylko ta walizka.

- Dobrze.

Charity wiedziała, że jeśli teraz na niego spojrzy, nie będzie potrafiła ukryć prawdy.

- Wszystko gotowe? - spytała Annie i ruszyła przez hol.

Kane szarmanckim gestem wskazał Charity, że powinna pójść za jego siostrą. Skinęła głową i cała trójka przeszła na frontową werandę.

Ted czekał obok pocztowej ciężarówki. Pozdrowił Charity krótkim skinieniem głowy.

- Bardzo żałuję, że nie zdążyłam cię poznać. - Annie spojrzała na Charity. - Brakuje mi babskiego towarzystwa. Teraz znów zostanę sama wśród mężczyzn. Chociaż, być może, jeszcze się spotkamy. Myślę o wyjeździe do Wielkiej Brytanii, żeby odwiedzić mamę.

- W takim razie koniecznie musisz wpaść do Hollydean.

- Kątem oka widziała, że Kane wstawił jej walizkę do ciężarówki. - Będzie nam bardzo miło cię gościć. Mamy mnóstwo miejsca.

- Dziękuję, nie zapomnę.

Ted zdążył już otworzyć drzwi kierowcy i najwyraźniej zaczynał się niecierpliwić. Annie odprowadziła Charity do drzwi pasażera.

- Pozdrów ode mnie Tima. Życzę bezpiecznej podróży.
- Pocałowała ją w policzek.
 - Dziękuję. Oczywiście przekażę.
- Kane był następny w krótkiej kolejce żegnających.
- Do widzenia, Chaz.
- Do widzenia - odpowiedziała niemal bezgłośnie.
- Wszystko gotowe? - zawołał Ted.

Kane zbliżył się o krok do Charity i pocałował ją w policzek tak samo szybko i lekko jak Annie. Mimo to oblała się rumieńcem.

Gdy już była w kabinie, spojrzała na niego przez zakurzoną szybę. Miał bardzo zbolaną minę. Natychmiast zapragnęła otworzyć drzwi, by rzucić się w jego ramiona. Chciała przytulić się do niego i prosić, by mogła zostać.

Jednak samochód już ruszał, a Kane uniósł rękę, by machnąć na pożegnanie jeden, jedyny raz. Gdy ciężarówka zbliżała się do bramy, Charity odwróciła się w fotelu. Zobaczyła, że Annie ze śmiechem podchodzi do brata. Po chwili opadł tuman kurzu. Charity zerknęła ostatni raz. Annie spoglądała na brata ze zmarszczonymi brwiami i zatroskaną miną.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Przepraszam cię, Charity, ale mam już inne plany - powiedział Tim z wyraźnym zakłopotaniem.

Siedzieli w kawiarni przy Townsville Strand. Otwierał się stąd rozległy widok na zatokę Cleveland aż po Magnetic Island. Charity była zachwycona, dopóki słowa brata nie zepsuły jej przyjemności podziwiania krajobrazu.

- Naprawdę bardzo mi przykro - mówił. - Gdybym wiedział, że masz ochotę na zwiedzanie okolic, nie zobowiązałbym się do udziału w rejsie. Jacht wypływa pojutrze. Sternik chce odpłynąć jak najdalej na południe, nim zacznie się pora cyklonów.

Charity zamieszała słomką swojego drinka.

- Naprawdę uważasz, że powinieneś wybierać się w rejs przez ocean, jeśli nie masz pojęcia o żeglowaniu?

Tim zacisnął zęby i spojrzał w stronę odległego horyzontu. Charity również zerknęła daleko przed siebie. Gdzieś tam czekała Wielka Rafa Koralowa i bajecznie kolorowe tropikalne ryby. Teraz okazało się, że nie będzie mogła tego zobaczyć.

- Naprawdę zależy mi na tym - powiedział. - Już rozmawiałem z tatą na ten temat. Będziemy w kontakcie, bo na jachcie jest telefon satelitarny.

Westchnęła, starając się nie okazać rozczarowania. Zabolalo, że brat zupełnie pominął ją w swoich planach. Jednak zdała sobie sprawę, że mając dziewiętnaście lat, myśli się głównie o własnych przyjemnościach. Tim szukał swojego miejsca na ziemi, natomiast ona od chwili, gdy opuściła Southern Cross, czuła się, jakby jej świat rozpadał się na kawałki.

- Myślę, że już najwyższy czas, żeby przestała cię pouczać jako starsza siostra. Na pewno nauczysz się żeglarstwa równie szybko jak pracy na farmie. Przy okazji przeżyjesz niejedną przygodę.

- Ty też masz okazję na ciekawe przeżycia. Powinnaś zwiedzić Australię, mimo że mnie tu nie będzie. Codziennie przyjeżdżają brytyjscy turyści z plecakami. Przyłącz się do jakiejś grupy.

Uśmiechnęła się bez przekonania. Żeby wybrać się na wędrowkę z obcymi ludźmi, trzeba mieć młodzieńczy zapał i beztroską głowę. Niestety nie spełniała żadnego z tych warunków.

W centrum handlowym w Townsville znalazła życzliwą agencję turystyczną. Poprosiła o pomoc w zmianie terminu rezerwacji biletu do Anglii. Uśmiechnięty mężczyzna w jaskrawej koszuli w tropikalne wzory zasiadł przed ekranem komputera.

- Ależ pani ma szczęście! - zawołał po chwili. - Dziś po południu mogę załatwić pani transport do Cairns. Tam będzie miała pani połączenie na lotnisko i samolot bezpośrednio do Londynu. Wylądować pani na lotnisku Heathrow w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Spojrzała na niego w osłupieniu. Jutro w Anglii? Zerk-

nęła przez okno na miasto tonące w słońcu. W Anglii jest teraz późna jesień. Drzewa już nie mają liści, a z zachmurzonego nieba kropi deszcz. Jeszcze przed chwilą myślała o Mirrabrook. Wyobraziła sobie, że tam wraca, by szczerze porozmawiać z Kaneem o... wszystkim.

Zupełnie jakby los sprzysiągł się przeciw niej. Najpierw pocztowa ciężarówka, potem decyzja Tima, a teraz zaskakujący zbieg okoliczności z połączeniem lotniczym. Wszystko układało się tak, by jak najszybciej wyjechała i zapomniała, że Kane McKinnon kiedykolwiek istniał.

- Mam szczęście? Oczywiście. Ze mną to tak zawsze - powiedziała do mężczyzny przy komputerze.

Annie znalazła Kane'a przed stajnią. Właśnie zajęty był czyszczeniem siodeł.

- Miałam nadzieję, że cię tu znajdę. Chcę porozmawiać z tobą szczerze jak siostra z bratem.

Uśmiechnął się.

- Spodziewałem się tego. Czuję, że w końcu powiesz mi, o co chodziło z twoim wyjazdem do Brisbane.

- Nie o tym chcę teraz rozmawiać. O mnie nie musisz się martwić. Panuję nad swoimi sprawami. Niepokoją mnie twoje.

- Moje sprawy? - Wzruszył ramionami. - Nie mam powodów do zmartwień.

Annie wzniosła oczy do nieba.

- Jeśli myślisz, że ci uwierzę, to jesteś głupszy, niż sądziłam. Zresztą chodzi mi nie tylko o ciebie. Myślę też o Charity Denham.

Uniósł głowę.

- Co z nią? - Zajął się plamką na siodle z takim przejęciem, jakby zależało od tego jego życie. Siostra zaczęła krążyć wokół niego wolnym krokiem. Zerknął w jej kierunku. Jej twarz wydała mu się nagle starsza, sprytniejsza i mądrzejsza.

- Jeśli będziesz udawał, że nie wiesz, o czym mówię, to po prostu tracę czas. - Westchnęła dramatycznie. - Pozwoliłeś, żeby Charity wróciła do Anglii i nie powiedziałaś jej, co naprawdę do niej czujesz. To po prostu przestępstwo - stwierdziła dobitnie i poszła do domu.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Gabriel, teraz twoja kolej! - zawołała Charity. Spojrzała w stronę drzwi, gdzie powinna się pojawić grupka sześcioletnich aniołków. - Ale gdzie jest Gabriel?

Chłopiec stojący najbliżej zrobił minę, która miała świadczyć, że o niczym nie wie. Uniosła rękę, by dać znać organiście, żeby przerwał przygrywkę do następnej kolędy. Potem odwróciła się w stronę pasterzy pilnujących stada wełnianych owiec.

- Simon, możesz powiedzieć aniołom, że przegapiły swoją kolej?

Ośmiolatek popędził w podskokach, a Charity otarła czoło. Dlaczego znów dała się w to wrobić? Poprzedniego roku przysięgła sobie, że nie będzie przygotowywać przedstawień na Boże Narodzenie. Próby były dla niej prawdziwą torturą. W tym roku było jeszcze gorzej.

- Anioły się biją - oznajmił Simon, który już zdążył wrócić.

- Czy pani Waterford nie może ich uspokoić?

- Jest zajęta, rozmawia z jakimś panem.

- Na litość boską! - zawołała Charity i odwróciła się do młodych aktorów. - Niech nikt się nie rusza, dopóki nie pogodzę aniołów.

Pospiesznie ruszyła do zakrystii. Już z daleka dobiegły ją podniesione głosy.

- Dinah ma złamane skrzydła. To sprawka Bulyego!

- Bo Dinah pchnął go i powiedział, żeby nie ciągnął go za nos.

- Teraz leci mu krew.

- Och, Billy - jęknęła Charity, podchodząc do chłopca, któremu krew kapała na nieskazitelnie biały anielski strój.

Na widok Charity Billy zaczął wyć wniebogłosy.

- Za chwilę wszystko będzie dobrze - uspokajała go, wyciągając paczkę chusteczek. - Odchyl głowę do tyłu i oddychaj ustami - powiedziała, wycierając mu nos. - Możesz pobiec po panią Waterford? - spytała innego anioła. - Powiedz jej, co się stało.

Drzwi zakrystii otworzyły się szeroko i Eileen Waterford wkroczyła do środka.

- Charity, bardzo cię przepraszam za to zamieszanie. Wyszedłam tylko na chwilę, bo ten pan pytał, kiedy będziesz wolna... - Przerwała, widząc jej minę. - Moja droga, co się stało?

Charity zamarła jak rażona piorunem, gdy zobaczyła, kto stał za Eileen. Kane! Skąd się tu wziął? Płatki śniegu osiadły mu na włosach i szerokim płaszczu do jazdy konnej. Trzymał ręce w kieszeniach i patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy: mieszaniną troski i rozbawienia.

Eileen spojrzała na nich z niepokojem.

- Charity, miałaś już okazję poznać pana McKinnona? - upewniła się.

- Tak - szepnęła. Serce waliło jej jak młot, a oczy napełniły się łzami.

Tymczasem gromadka dzieci za jej plecami niecierpliwiła się coraz bardziej.

- Można zaczynać? Mamy już dość czekania - odezwało się któreś z nich.

Charity spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut zjawią się rodzice, żeby zabrać swoje pociechy. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco.

- Nie będę przeszkadzać - odezwał się Kane. - Poczekam na zewnątrz.

Dzieci przyglądały mu się z zaciekawieniem. Wszystko było w nim inne, nietutejsze: tropikalna opalenizna, szeroki skórzany płaszcz, no i ten dziwny australijski akcent.

- Nie możesz czekać na zewnątrz. Jest zimno i pada śnieg - zaprotestowała Charity.

- Panie McKinnon, może zechce pan wejść i zaczekać w kościele? - zaproponowała Eileen. - Tu jest ciepło i zacisznie.

Tylko tego brakowało, pomyślała Charity z przerażeniem. Jak miałyby prowadzić próbę, gdy Kane ją obserwował? Dlaczego tu przyjechał? Co zamierzał? Uśmiechnął się niepewnie, co zupełnie do niego nie pasowało. Wzięła głęboki oddech.

- Aniołki wracają do kościoła - zarządziła. - Weźcie z sobą pana McKinnona. Nie martw się, Billy. Zdamy wyczyścić twój kostium przed niedzielą. Archanioł Gabriel zaczyna. Pamiętasz kolejność?

Chłopiec skinął głową i zaczęła się próba. Charity starała się nie spoglądać zbyt często w stronę Kanea, który siedział nieruchomo i nie spuszczał jej z oczu.

Gdy dzieci skończyły śpiewać ostatnią kolędę, zaczęli

zjawiać się przejęci rodzice. Charity starała się zamienić z każdym kilka zdań. Najwięcej czasu poświęciła mamie Billyego, wyjaśniając sprawę rozbitego nosa.

Kane cierpliwie czekał w głębi kościoła. W końcu wyszli ostatni rodzice. Charity ruszyła w jego stronę wzdłuż nawy. Pokręciła głową, starając się uśmiechnąć.

- Dzięki Bogu, że mam to za sobą.

Szybko wstał i podszedł do niej.

- Byłaś wspaniała.

- Dzięki. - Kane wydawał się bardzo przejęty i onieśmieszony. Nie zdobył się na powitalny pocałunek - Zrobiłeś mi wielką niespodziankę. Cieszę się, że znów cię widzę, ale co cię sprowadziło do Wielkiej Brytanii?

- Annie chciała odwiedzić mamę w Szkocji. Postanowiłem jechać razem z nią.

- Rozumiem. - Starła się nie okazać rozczarowania. Przecież Kane nie wybrałby się na drugą półkulę z jej powodu. - Jak mama?

- W porządku, dziękuję.

- Przyjechałeś do Anglii razem z Annie?

- Nie, została w Szkocji.

- Czyli tylko Reid został na farmie?

- Ferret przeniósł się do Southern Cross, żeby mu pomagać.

Wyczerpała pytania dotyczące innych.

- Chyba się nie spodziewałeś, że będziesz tu siedział na próbie przedstawienia?

- Och, bardzo dużo się dowiedziałem.

- O Bożym Narodzeniu? - Uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

- Nie. O tobie. Zobaczyłem cię w zupełnie innej roli. -
Rozejrzał się po zabytkowym wnętrzu kościoła. - Jesteś już
gotowa do wyjścia?

- Oczywiście. Płaszcz zostawiłam w zakrystii.
Charity szła obok Kane'a przez nawę kościoła św. Albana.

Przypomniała sobie dziewczęce marzenia o tym, jak właś-
nie tędy kroczy u boku wspaniałego mężczyzny. Był wyso-
ki, przystojny i bez pamięci w niej zakochany. Czy Kane
McKinnon mógł być tym ideałem? Bardzo chciała, żeby
tak się stało.

Podał jej płaszcz i apaszkę.

- Jak ci się podoba nasza pogoda? - spytała, gdy wyszli
na zewnątrz. - Bardzo przeszkadza ci wiatr i śnieg?

- Pogoda jest dobra, a śnieg przepiękny. Jest zupełnie
inaczej niż w moich stronach.

Gdy szli wyłożoną kamieniami ścieżką obok kościoła,
zauważyła, że znów schował ręce do kieszeni.

- Potrzebne ci są rękawiczki.

- Jasne. - Uśmiechnął się. - Teraz moja kolej, żeby przy-
stosować się do tutejszych warunków.

Starła się spojrzeć na otoczenie jego oczami: ośnieżo-
ny plac przed kościołem, drzewa oblepione śniegiem,
omszałe nagrobki starego cmentarza wystające ze śniegu.

- Jest tu zupełnie inaczej niż w Australii - powiedziała.

- Tak. Trochę przerażająco.

- Żartujesz? Przynajmniej nie ma tu jadowitych węży.
Nie mogę uwierzyć, że Kane McKinnon boi się odrobiny
śniegu.

- Chodzi nie tylko o śnieg. - Spojrzał na blade niebo. -
Zdałem sobie sprawę... - Zerknął na nią nieśmiało, uśmie-

chając się lekko. - Annie to tylko pretekst. Przyjechałem, żeby spotkać się z tobą. Od czasu, gdy mnie opuściłaś, myślałem, że oszaleję. Myślałem o tym, żeby zadzwonić lub napisać list, ale obawiałem się, że wszystko zepsuję. Musiałem cię zobaczyć. Jednak teraz widzę, że naiwnie wyobrażałem sobie... - Zacisnął zęby. - Tu jest twoje miejsce. W Star Valley nie ma nawet kościoła. Raz w miesiącu przyjeżdża pastor do Mirrabrook i odprawia mszę.

Sprawiał wrażenie całkiem załamanego. Nawet do głowy mu nie przyszło, że była w nim bezgranicznie zakochana. Natomiast Charity uważała, że kocha się człowieka, a nie jego miejsce zamieszkania.

- Kane, od czasu, gdy wróciłam, wciąż myślałam o tobie. Spojrzał z niedowierzaniem.

- Naprawdę? - Zbliżył się o krok.

- Zakochałam się w tobie, Kane. Mógłbyś mnie teraz pocałować, nie wyjmując rąk z kieszeni? - spytała szeptem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To się nazywa zaczepka, pani nauczycielko.

- Jak brzmi twoja odpowiedź?

Nigdy dotąd nie prosiła mężczyzny o pocałunek. Tymczasem Kane przestał się uśmiechać. Pochylił się i powoli, delikatnie pocałował jej usta. Charity stanęła na palcach i chwyciła klapy jego płaszcza, żeby utrzymać równowagę. Nie przestawali się całować, starając się wykorzystać tę chwilę do końca. Przeszkadzały im tylko grube ubrania.

Gdy przerwali, żeby zaczerpnąć powietrza, Charity zdała sobie sprawę, że Kane nadal trzyma ręce w kieszeniach płaszcza. W tym momencie stracił równowagę i oboje wyładowali w puszystym, świeżym śniegu.

- Chaz, całowałaś się kiedyś w śniegu?

- Nigdy. A ty?

- Też nie. - Uwolnił ręce i delikatnie przeczesał jej włosy.

Nagle uniósł głowę.

- A jeśli ktoś nas zobaczy?

Spojrzała nad jego ramieniem w stronę plebanii.

- Już nas zobaczyli.

Kane spojrzał w tę samą stronę. W szerokim oknie ja-
dalni stali jej ojciec i Alice. Oboje patrzyli na nich z ustami
otwartymi ze zdziwienia.

- Czy dobrze się domyślam, kto to jest? - jęknął Kane.

- Jeśli myślisz, że to mój ojciec, to się nie mylisz.

Kane poderwał się sprężystym ruchem.

- Przepraszam cię. Nie chciałem, żebyś miała przeze
mnie kłopoty.

Uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się. Tata jest tak zakochany, że nie będzie
miał nam tego za złe. Tym bardziej gdy cię pozna i prze-
kona się, jaki jesteś cudowny. Jednak zanim oficjalnie was
przedstawię, chodźmy do mnie. Powinieneś się ogrzać.

- Myślałem, że też tam mieszkasz. - Wskazał na roz-
świetloną plebanię.

- Już nie - powiedziała z uśmiechem. - Gdy ojciec i Ali-
ce wzięli ślub, przeniosłam się do swojego domku. Właści-
wie należy do Alice. Po prostu zamieniłyśmy się lokalami.
Chodź, zobaczysz.

Wyszli na wąską uliczkę. Tuż za najbliższym rogiem
przystanąli.

- To ten z zielonymi drzwiami. - Pokazała bardzo sta-

ry i malowniczy domek z nieregularnie rozmieszczonymi oknami.

- Wygląda jak ze świątecznej pocztówki.

- Bardzo zaciszny. Z ciepłym piecem i łóżkiem.

Kane zatrzymał się gwałtownie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Tak, Kane. - Spojrzała mu w oczy.

Wyciągnął silną dłoń, by poprawić jej niesforny kosmyk włosów.

- Charity, dobrze wiesz, że jeśli wejdę z tobą do domu, nie będzie już odwrotu.

- Właśnie na to liczę - odparła z uśmiechem.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Miał uczucie, że to sen. Wszystko działo się zbyt szybko. Tak niedawno siedział w głębi kościoła św. Albana, przekonany, że popełnił straszny błąd i nie powinien tu przyjeżdżać. Obserwował, jak Charity świetnie radziła sobie z dziećmi. Przepadały za nią. Tu toczyło się jej prawdziwe życie. Nie miał prawa zjawiać się bez zapowiedzi i z nadzieją, że zupełnie odmieni jej świat. Jednak jakimś cudem okazało się, że był właśnie tym człowiekiem, o którym marzyła. Ostatni pocałunek rozwiązał wszystkie wątpliwości.

Zaczął padać śnieg. Podeszli do drzwi. Charity przekreśliła klucz w zacinającym się zamku i popchnęła drzwi ramieniem.

- Pochyl głowę. Drzwi są bardzo niskie. Może na razie zostań w płaszczu. Kominiek zacznie grzać dopiero za chwilę. - Włączyła lampki na miniaturowej choince. - Zrobić ci coś gorącego do picia?

- Dziękuję. Nie trzeba. - W sąsiednim pokoju na stole zauważył rozłożone przybory malarskie. - Zaczęłaś malować? - Podeszedł do stołu.

- Tylko kilka kartek świątecznych.

- Mogę zerknąć?

Skinęła głową.

- Malowałaś australijskie drzewa kauczukowe? - spytał zaskoczony.

- Co o nich myślisz? Są choć trochę podobne?

- Są fantastyczne. Nie sądziłem, że masz taki talent.

- Malowałam australijskie wspomnienia, gdy jeszcze miałam je świeżo przed oczami.

- Nie jestem znawcą sztuki, ale udały ci się genialnie. Przybrała minę pełną niedowierzania, ale widać było, że pochwały sprawiły jej przyjemność.

- Wysłałam kartkę do Southern Cross. Lada dzień powinna dotrzeć. Mogę już wziąć twój płaszcz? Ten pokój szybko się nagrzewa.

- Dzięki - powiedział, oglądając inne akwarele.

- Pokochałam Australię - przyznała.

Spojrzał na nią.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa. Brak mi odpowiednich słów, żeby to określić. - Pokręcił głową. - Żyjąc w buszu, zapomina się pięknego języka. Powinienem teraz zerknąć do słownika.

- Kane, ja nie potrzebuję słów...

- Ale zasługujesz na nie. Szkoda, że nie czytywałem poezji. Może potrafiłbym wyrazić, co czuję.

- Za bardzo się przejmujesz. Wiesz, jakie poetyckie obrazy przychodzą mi do głowy?

- Mów śmiało.

- Chciałabym zobaczyć, jak światło kominka rzuca cienie na twoją gołą skórę.

Roześmiał się.

- Mówiłem poważnie i szczerze.

- Ja też.

- Starasz się mnie uwieść.

- Udaje mi się?

Przyciągnął ją do siebie.

- Jak najbardziej. - Pocałował jej szyję.

- Zgadzałam się na zmysłowe pocałunki zamiast słów -
powiedziała.

- Te pocałunki mówią, że cię kocham. - Całował jej policzki i rzęsy.

Charity objęła go, odwzajemniając pieśczoćy.

- Ja też cię kocham. Zrobiłam wielki błąd, wyjeżdżając z Southern Cross.

- Nie powinienem cię stamtąd wypuścić. Na szczęście posłuchałem Annie.

- Co powiedziała?

- Powiedziała mi, że to, co zrobiłem, jest przestępstwem.

- Od początku polubiłam twoją siostrę.

Znów zaczęli się całować. Potem nie potrzebowali słów, żeby powiedzieć, co czują.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W połowie stycznia śnieg nadal pokrywał ulice i dachy w Hollydean. W obszernej jadalni na plebanii panowało radosne podniecenie. Charity, jej najlepsza przyjaciółka Emma oraz Alice ozdobiły dziesiątki świeczek wianuszkami z bluszczu, białych chryzantem i czerwonych pączków róż. Teraz zapalone świece tworzyły romantyczny nastrój.

Wśród gości była matka Kane'a. Wyglądała elegancko i była bardzo dumna z syna. Przyjechali też Annie oraz ogorzały jak prawdziwy wilk morski Tim. W odświętnym garniturze wyglądał bardzo dorośle.

Charity uśmiechała się do wszystkich wokół. Siedziała obok Kanea w sukni ślubnej z długimi rękawami. Najlepszy krawiec w Hollydean uszył ją w zaskakująco krótkim czasie.

Ceremonię ślubną w kościele św. Albana poprowadził ojciec Charity. Wszystko odbyło się tak, jak sobie już dawno wymarzyła. Teraz przyjęcie weselne trwało w najlepsze. Przyjaciół ojca, Jack Houghton, wstał, by wznieść toast na cześć nowożeńców.

- Kane McKinnon to wspaniały człowiek. Mówi się, że miłość nie idzie w parze z rozsądkiem. Jednak wydaje mi

się, że Kane'owi to się udało. Na pewno zgodzicie się ze mną, że ten, kto wybrał Charity Denham na żonę, wykazał się nie lada rozsądkiem.

Rozległy się oklaski, a Charity zaczerwieniła się po uszy, słysząc okrzyki przyjaciółek. Spojrzała ze wzruszeniem na męża. Wyciągnęła do niego dłoń. Uścisnął ją i spojrzeli sobie w oczy. Zaskoczyła ją jego zmartwiona mina. Jednak szybko domyśliła się, w czym problem. Teraz Kane powinien odpowiedzieć na toast przed tłumem gości. Na pewno wolałby spotkać się oko w oko z jadowitym wężem lub rozsierdzonym bykiem.

Staął wyprostowany jak żołnierz. Charity spojrzała na niego z uśmiechem, by dodać mu odwagi. Odwzajemnił uśmiech, potem spojrzał na gości.

- Panie i panowie, dziś Charity Fleur Denham, najpiękniejsza panna młoda na świecie, złożyła przysięgę, że będzie moją żoną, dopóki śmierć nas nie rozłączy. - Przerwał, by nabrać powietrza. - Nikt nie dostąpił większego zaszczytu.

Charity poczuła łzy radości napływające do oczu.

- Chciałbym podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do mojego szczęścia. Przede wszystkim mamie, która mnie wychowała i nie szczędziła dobrych rad. Dzięki nim mogłem docenić zalety mojej przyszłej żony. Ojciec Charity, Matthew, wychował cudowną córkę. Charity i ja chcemy także uczcić pamięć jej matki, Fleur, oraz mojego ojca, Coby.

Charity nie umiała opanować łez szczęścia.

- Nie mogę pominąć mojej siostry Annie oraz Tima, brata Charity. Spisał się świetnie jako drużba. Jednak mo-

że nie wszyscy wiedzą, że nie poznałbym jego siostry, gdyby nie wyruszył szukać przygód w Australii.

Tim zamachał ręką, wstał i zabawnie uklonił się wszystkim, co spowodowało ogólny wybuch śmiechu.

- Chcę podziękować mieszkańcom Hollydean za przyjęcie mnie do waszego grona i powierzenie mi opieki nad Charity. Wiem, że będziecie za nią tęsknić. Przyrzekam, że będę się nią dobrze opiekował, by w australijskim buszu nic złego jej się nie zdarzyło, i zrobię wszystko, by była szczęśliwa. - Spojrzał na żonę. - Zyskałem tu nowych przyjaciół. Pamiętajcie, że zawsze znajdzie się dla was miejsce w Southern Cross.

Charity uśmiechnęła się na myśl o goszczeniu wszystkich znajomych i przyjaciół.

- Wrócimy tutaj jeszcze wiele razy - dodał Kane. - Chciałem z góry przeprosić za hałaśliwe, ale wspaniałe dzieci, które na pewno z nami przyjadą.

Odpowiedział mu radosny śmiech. Charity wstała, by serdecznie uściskać Kanea.

Był cudowny, wrażliwy i bystry. Czy mogłaby znaleźć lepszego męża?